



BEZPŁATNY KWARTALNIK

NR 23

LATO
2023





**Bądź
EKO
z apką
KOM-EKO**



POBIERZ
w
Google Play



POBIERZ
w
App Store

POBIERZ
BEZPŁATNIE

UŁATWIA
GOSPODARKE
ODPADAMI

www.ekoapp.com.pl

Szanowni Czytelnicy!

Wyjątkowo zimna wiosna sprawiła, iż z niecierpliwością wyczekiwaliśmy tego roku lata. Wreszcie jest a wraz nim my z nowym numerem EKOgadki. Numerem, który polecamy jako lekturę na wakacje. Na czas oddechu wśród urlopowych atrakcji, na dłużący się czas podróży. A może warto sięgnąć po EKOgadkę, jeszcze nim przestąpimy próg domu ruszając w drogę?

Opowiemy wszak o tajemnicach jakie skrywają w sobie mapy, bez których przez lata daleko się nie wypuszczano. Może za sprawą naszych bajął skłonimy, by tym razem w wakacyjnych wędrówkach zapuścić się w step? A może do dalekiego i egzotycznego Bhutanu? O dalekich rejsach pod żaglami i najurokliwszych miejscach na świecie porozmawiamy z kapitanem Ziemowitem Barańskim. O zapomnianej reducie Kościuszki opowie nasz zaprzyjaźniony archeolog. Jak zawsze w EKOgadce dużo informacji z życia Grupy KOM-EKO i wieści dla miłośników ekologii. Miłej lektury.

Zarząd Kom-Eko S.A.



KAPITAN
str. 42

| POLECAMY: | |
|------------------|----|
| STEPY | 21 |
| REDUTA | 36 |
| MAPY | 52 |
| FELIETON | 58 |



Kalendarium Kom-Eko

Wiele wartych przypomnienia zdarzeń
z ostatnich tygodni:

- marzec 2023** Zakup samochodu ciężarowego Renault D280 z urządzeniem hako-
wym do obsługi kontenerów na potrzeby Zakładu Wywozu Odpadów;
- kwiecień 2023** Zakup mobilnego rozdrabniacza wolnobrotowego do odpadów wiel-
kogabarytowych Pronar MRW.1.30 dla Zakładu Odzysku i Recyklingu;
- kwiecień 2023** Grupa KOM-EKO stała się większościowym (obok Cemex Polska)
udziałowcem w spółce EkoPaliwa Chełm Sp. z o.o., jednym z wiodących
wytwórców paliw alternatywnych;
- 12 kwietnia 2023** Wspierając działalność Ogrodu Botanicznego UMCS w Lublinie KOM-
EKO przekazało partię wytworzonego w Zakładzie Zagospodarowania
Odpadów KOM-EKO HUMUKOM-u. To naturalny środek poprawiający
właściwości gleby powstały z kompostowanych, selektywnie zbieranych,
odpadów zielonych;
- 21 kwietnia 2023** KOM-EKO wspiera jako sponsor i prelegent organizację cyklicznych
obchodów Dnia Ziemi na Wydziale Nauk o Ziemi i Gospodarce
Przestrzennej UMCS;
- 26 kwietnia 2023** Podczas Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach re-
dakcja dziennika „Rzeczpospolita” uhonorowała Grupę KOM-EKO wy-
różnieniem „Debiut zarządzaniem ESG” podczas Gali wręczenia nagród
„Orły ESG 2023”;
- maj 2023** Udział przedstawicieli Grupy KOM-EKO w realizowanym przez TVP
Lublin magazynie ekologicznym „Ekologiczne 3R” poświęconemu rozwo-
jowi technologii termicznego przekształcania odpadów na Lubelszczyźnie;
- 12 maja 2023** Firma KOM-EKO jako honorowy patron i przyjaciel Szkoły Podstawowej
im. J. Piłsudskiego w Lublinie uczestniczy w uroczystych obchodach
jej 95-lecia;
- 19 – 21 maja 2023** KOM-EKO wspiera jako sponsor organizację II Festiwalu Przyrody or-
ganizowanego w Lublinie przez Fundację dla Przyrody;
- 3 czerwca 2023** KOM-EKO, jako darczyńca, wspiera organizację dorocznego festynu
„Rodzina Felina” na terenie Szkoły Podstawowej nr 52 w Lublinie;
- 10 czerwca 2023** KOM-EKO uczestniczy w dorocznym Eko Pikniku nad Zalewem
Zemborzyckim;
- 11 czerwca 2023** KOM-EKO wspiera jako sponsor i aktywnie uczestniczy promując wie-
dzę o ekologii w XIII edycji Festynu „Pasje Ludzi Pozytywnie Zakręconych”.



Ćwiczenia straży pożarnej w siedzibie Ekopak

Przez trzy dni od 5 do 7 czerwca na obiektach zarządzanych przez Ekopak, z inicjatywy za-
rządu spółki, odbywały się ćwiczenia bojowe załóg Jednostki Ratowniczo Gaśniczej Państwowej
Straży Pożarnej nr 3 w Lublinie. Strażacy z sąsiadującej z firmą jednostki w porozumieniu ze służ-
bą BHP grupy KOM-EKO zapoznali się z infrastrukturą firmy m.in. z warunkami ochrony pożarowej
obiektu, dojazdem do obiektu, rozmieszczeniem hydrantów zewnętrznych, sposobami ewakuacji
pracowników, ale także zaznajomili się z prowadzonym procesem technologicznym sortowania od-
padów. W ćwiczeniach z wykorzystaniem wozów bojowych ratownictwa technicznego, w tym spe-
cjalistycznych podnośników koszowych wzięły udział wszystkie zmiany bojowe Jednostki Ratowniczo
Gaśniczej nr 3.



KOM-EKO na Dniach Ziemi UMCS

Po raz kolejny spółka KOM-EKO wspierała jako sponsor organizację cyklicznych obchodów Dnia Ziemi na Wydziale Nauk o Ziemi i Gospodarce Przestrzennej UMCS. Szesnasta już edycja imprezy odbyła się pod hasłem „Ziemia na krawędzi” gromadząc tłumy uczniów szkół podstawowych i średnich oraz ich opiekunów. Młodzi ludzie uczestniczyli w wykładach popularnonaukowych, warsztatach, wystawach i konkursach dotyczących zagadnień związanych z Ziemią i środowiskiem. Pośród nich znalazło się również miejsce na prelekcję firmy KOM-EKO „Segreguję – nie marnuję” dotyczącą zagadnień związanych z selektywną zbiórką odpadów, ze szczególnym podkreśleniem wagi recyklingu tworzyw sztucznych.



Z edukacją do mieszkańców



Wiosna to w Lublinie czas intensywnego rozkwitu plenerowych imprez kulturalnych, rozrywkowych i edukacyjnych kierowanych do mieszkańców miasta. Takie spotkania to również okazja, by ucząc i bawiąc nieść wiedzę o naszej wspólnej odpowiedzialności za środowisko i najbliższe otoczenie. Stąd obecność KOM-EKO zarówno w formie darczyńcy wspierającego finansowo tego rodzaju spotkania jak i formie aktywnego uczestnictwa.



Nasze stoiska obecne były podczas II Festiwalu Przyrody w Ogrodzie Saskim, kolejnej edycji Eko Pikniku nad Zalewem Zemborzyckim oraz XIII Festynu „Pasje Ludzi Pozytywnie Zakręconych”. Nasi pracownicy z radością dzielili się swoją wiedzą w zakresie odpowiedzialnego gospodarowania odpadami, rozwiewali wątpliwości związane z segregacją odpadów oraz promowali niezwykle pomocną w tym względzie aplikację ekoAPP.

FOTO: Z archiwum CK.

Nagroda dla raportu ESG Grupy KOM-EKO

ADAM PRYZSTUPA

Miło nam poinformować, iż Grupa KOM-EKO została wyróżniona w kategorii „Debiut zarządzaniem ESG” podczas Gali wręczenia nagród „Orły ESG 2023” organizowanej przez „Rzeczpospolitą” podczas Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach.

Redakcja ogólnopolskiego dziennika postanowiła bliżej przyjrzeć się publikowanym w raportach ESG wskaźnikom, a także danym wynikającym z raportów finansowych firmy, by ocenić ich rzeczywiste działania w zakresie strategii zrównoważonego i odpowiedzialnego rozwoju. Kapituła konkursu uhonorowała podmioty, które wykazują się szczególną aktywnością i konsekwencją w obszarze wdrażania zasad ESG. Cieszymy się, iż wśród nich dostrzeżono debiutancki raport naszej Grupy – jeden z pierwszych w branży gospodarowania odpadami w Polsce i pierwszy wśród firm naszej branży w regionie.



Z przyjemnością informujemy, że w roku 2023 firma KOM-EKO objęła swoim mecenatem Muszlę Koncertową w Ogrodzie Saskim w Lublinie.

Położony w najbardziej reprezentacyjnym parku Lublina obiekt od lat wpisany jest w mapę kulturalną miasta. W okresie letnim muszla jest miejscem licznych koncertów, spektakli teatralnych, plenerowych seansów filmowych czy innych niekonwencjonalnych działań artystycznych. Od roku 2021 Muszla Koncertowa nosi imię Romualda Lipki, kompozytora i współtwórcy zespołu Budka Suflera.



Na ratunek pisklęciu

Pracownicy firmy Ekoland odbierając w jeden z poranków odpady z terenu miasta Kraśnik znaleźli w pojemniku pisklę. Ptak został przetransportowany do Biura Ekoland, a następnie odebrany przez straż miejską i oddany do Kraśnickiego Stowarzyszenia Pomocy Zwierzętom „Tulimy”. Uratowane ptaszki okazało się pisklęciem gołębia i zostało przekazane do osoby, która hobbistycznie zajmuje się ratowaniem porzuconych ptaków. Gołąbek zaczął samodzielnie przyjmować pokarmy i wszystko wskazuje na to, że niebawem będzie samodzielnym dorosłym ptakiem.



Czysta rzeka

15 kwietnia w ramach akcji „Czysta Rzeka Kraśnik” zbierane były śmieci z przepływającej przez Kraśnik rzeki Wyżnicy i jej okolic. Firma Ekoland włączyła się w akcję porządkowania brzegu i koryta rzeki poprzez czynny udział w zbieraniu i odławianiu odpadów. W tym roku zebraliśmy 1740 kg porzuconych nieczystości - to aż 1200 kg więcej niż w 2022 roku. Przeważały głównie szklane butelki, plastikowe opakowania po produktach spożywczych, kilka butów, miski, stare opony a także materac. Wszystkie odpady zostały posegregowane podczas akcji i przekazane do zagospodarowania w instalacji Ekoland Polska.



EKOedukacja

Ostatnie miesiące to czas bardzo aktywnych działań związanych z edukacją ekologiczną prowadzoną w szkołach, przedszkolach i bibliotekach zlokalizowanych na terenie miasta Kraśnik i okolicznych gmin. Pracownicy firmy Ekoland przeprowadzili zajęcia w 10 placówkach oświatowych, udział w nich wzięło 685 uczniów. Celem przedsięwzięcia był wzrost świadomości i wiedzy najmłodszych w zakresie dbania o swoje najbliższe środowisko oraz kształtowanie pozytywnych nawyków ekologicznych u dzieci i ich rodzin. Praktycznym uzupełnieniem ekologicznych lekcji było zaproszenie przedszkolaków i uczniów do sprzątnięcia najbliższej okolicy placówek oświatowych 22 kwietnia w ramach obchodów Dnia Ziemi. W akcji zaangażowało się 1500 uczniów.

Podczas obchodów Dnia Dziecka firma Ekoland w ramach podziękowania za czynny udział w edukacji ekologicznej przekazała do szkół, które wykazują się najwyższą aktywnością proekologiczną, pięć zestawów koszy do segregacji odpadów.

FOTO: Za zgodą EKOLAND.



FOTO: Za zgodą EKOPALIWA.

Nowa spółka w Grupie KOM-EKO

MARLENA SZODA

W kwietniu 2023 r. Grupa KOM-EKO stała się większościowym (obok Cemex Polska) udziałowcem w spółce EkoPaliwa Chełm Sp. z o.o., będącej jednym z wiodących wytwórców paliwa alternatywnego RDF stanowiącego alternatywę dla paliw kopalnych oraz źródło energii w przemyśle cementowym. Najnowsza akwizycja wpisuje się w misję Grupy kapitałowej KOM-EKO S.A. i jej dążenia do wdrażania rozwiązań pozwalających na energetyczne wykorzystanie resztkowych frakcji odpadów komunalnych oraz minimalizacji ich negatywnego wpływu na środowisko naturalne. Tego typu inwestycje są niezbędnym elementem domykającym system zarządzania odpadami w myśli idei Gospodarki o Obiegu Zamkniętym.

Spółka EkoPaliwa Chełm powstała w 2011 r. na mocy umowy współpracy pomiędzy CEMEX Polska a firmą Econ Trade Sp. z o.o. Pierwszym przedsięwzięciem powstałego podmiotu była budowa i uruchomienie w 2014 r. na terenie Cementowni Chełm Zakładu Produkcji Paliw Alternatywnych (ZPPA). Celem inwestycji było wykorzystanie wysokoenergetycznych frakcji odpadów przemysłowych i komunalnych do produkcji paliwa alternatywnego, spalane w piecu klinkierowym cementowni.

W kolejnych latach działalności spółka rozszerzała grono dostawców i ilości przetwarzanych odpadów, równoległe modernizując i podwajając moce użytkowanej instalacji. Obecnie wynoszą one 280 000 Mg/rok.

W sierpniu 2022r. zakończono kluczową inwestycję utworzenia instalacji podającej gotowe paliwo RDF bezpośrednio taśmociągami do cementowni - dzięki której ZPPA EkoPaliwa stał się jedynym tego typu zakładem

w Polsce posiadającym bezpośrednie połączenie z cementownią.

W skład instalacji do produkcji paliwa alternatywnego wchodzi obecnie dwie równoległe linie produkcyjne. Do najważniejszych etapów procesu technologicznego należą:

- rozdrobnienie odpadów podanych do przetworzenia przy użyciu rozdrabniacza wstępnego HASS;
- odseparowanie metali w separatorze magnetycznym;
- odseparowanie frakcji balistycznej przy wykorzystaniu sit wibracyjnych oraz separatora powietrznego Westeria;
- oddzielenie minerałów (ziemia, piasek) przy wykorzystaniu sit wibracyjnych Spaleck;
- wyseparowanie poprzez separatory elektromagnetyczne ze strumienia odpadów złomu stalowego;
- ostateczne przekształcenie odpadu w paliwo RDF w rozdrabniaczu końcowym Weima Powerline 3000.

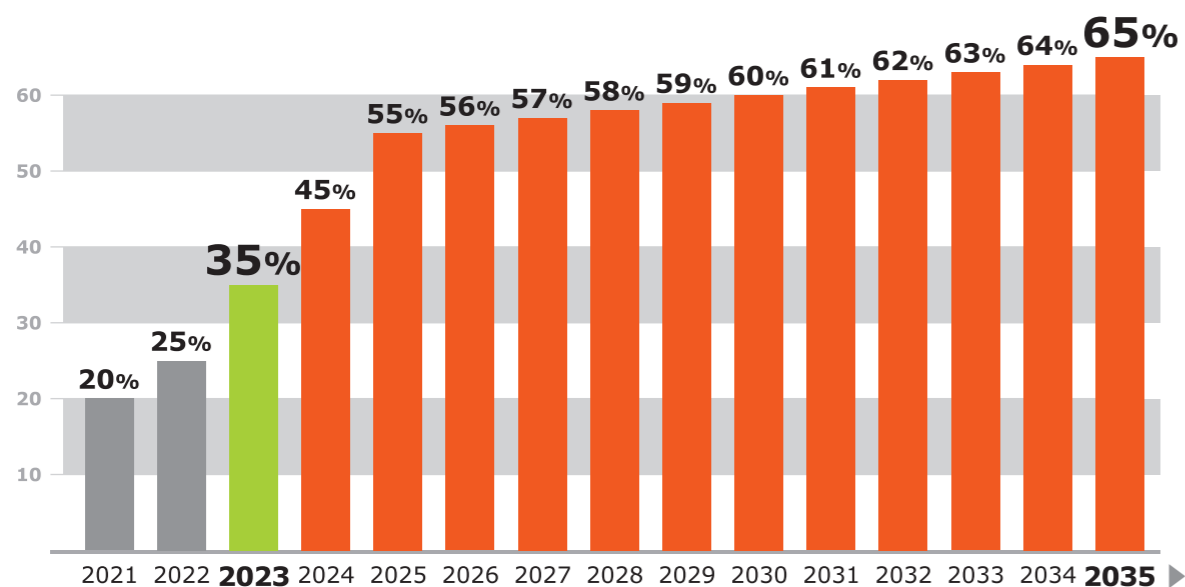
Spółka EkoPaliwa zapewnia Cementowni Chełm stałe dostawy paliwa alternatywnego, a bezpośrednie połączenie zakładu z cementownią zabezpiecza płynność dostaw całodobowo. W swojej działalności szczególną wagę przykładają do pozyskiwania energetycznego surowca, aby zapewnić wysokie normy jakościowe produkowanego paliwa RDF. Współspalanie paliw alternatywnych zobowiązuje do spełnienia szeregu wymogów prawnych oraz standardów emisyjnych, dlatego EkoPaliwa sukcesywnie modernizują i dostosowują ZPPA w Chełmie do aktualnych przepisów środowiskowych i wymogów Cemex Polska.

Nierealne poziomy recyklingu?

ADAM PRYZSTUPA

8 czerwca 2023 r. Komisja Europejska opublikowała sprawozdanie „Waste Early Warning Report”. Wskazano w nim państwa członkowskie UE, w przypadku których istnieje ryzyko, że nie będą w stanie osiągnąć założonych celów

65% w 2035 r. Te ambitne cele zostały przeniesione na grunt polskiego prawa w postaci zapisów art.3b ustawy o utrzymaniu porządku i czystości w gminach (Dz.U.2022.2519), gdzie rozpisano je na konkretne lata:



dotyczących recyklingu odpadów komunalnych, recyklingu odpadów opakowaniowych oraz ograniczenia składowania odpadów komunalnych. To dokument szczególnie interesujący w tym pierwszym zakresie, bo odnoszący się do prawdopodobieństwa spełnienia poziomów recyklingu wymagany w roku 2025, a więc już za dwa lata.

Przypomnijmy. W dyrektywie unijnej 2008/98/WE w sprawie odpadów wskazano, iż w celu przejścia europejskiej gospodarki na model o obiegu zamkniętym z wysokim poziomem efektywnego wykorzystania zasobów, państwa członkowskie powinny przedsięwziąć działania służące do osiągnięcia recyklingu odpadów komunalnych na poziomie minimum 55% w roku 2025, minimum 60% w roku 2030 i minimum

Osiągnięcie poziomów recyklingu odpadów komunalnych jest ustawową powinnością gminy, która ma wszakże prawo wybierając w trybie postępowania o zamówienia publiczne firmę odbierającą śmieci zobowiązać ją do uzyskiwania tych poziomów. Niezależnie od tego jest to również ustawy obowiązek przedsiębiorców odbierający odpady komunalne na podstawie umów z właścicielami nieruchomości z tzw. posesji niezamieszkałych (art. 9g ustaw upicg). Poziomy recyklingu swój wymiar ekologiczny, ale równie istotny jest związany z nimi aspekt finansowy. Ich nieosiągnięcie oznacza dotkliwe kary finansowe zarówno na poziomie gmin, jak i przedsiębiorców. W roku 2020 Wojewódzkie Inspektoraty Ochrony Środowiska nałożyły z tego tytułu



FOTO: Redakcja. Centrum Recyklingu Ekopak.

kary na 831 gmin i są to kwoty dlań dotkliwe, w niektórych przypadkach przekraczające milion złotych.

Wróćmy do unijnego raportu. Jak piszą jego autorzy „Na podstawie oceny przeprowadzonej przez Europejską Agencję Środowiska oraz szczegółowego przeglądu wyników państw członkowskich w zakresie recyklingu oraz przyjętej przez nie polityki dotyczącej odpadów ustalono, że ryzyko nieosiągnięcia celu dotyczącego ponownego użycia i recyklingu odpadów komunalnych na poziomie 55 % do 2025 r. istnieje w przypadku 18 państw członkowskich: Bułgarii, Chorwacji, Cypru, Estonii, Finlandii, Francji, Grecji, Węgier, Irlandii, Litwy, Łotwy, Malty, Polski, Portugalii, Rumunii, Słowacji, Hiszpanii i Szwecji.” Co więcej zaznaczają, iż „Można rozsądnie założyć, że ta ocena wskazuje również wyraźnie na ryzyko, że państwa członkowskie nie osiągną do 2030 r. celu w zakresie przygotowanie do ponownego użycia i recyklingu na poziomie 60 %, jeżeli nie zostaną podjęte żadne dodatkowe działania, w tym szybsze wdrożenie przyjętych polityk i reform.”

Te wnioski, zwłaszcza w odniesieniu do Polski, nie zaskakują. Głosy o tym, iż trudno będzie nam

mierzyć się z unijnymi wymogami słyszane były branży odpadowej już od dawna. I bynajmniej nie miały one na celu usprawiedliwienia zapóźnień czy zaniechań w zakresie inwestycji w infrastrukturę związaną z sortowaniem odpadów. Ilość nowoczesnych, coraz bardziej zaawansowanych technologicznie instalacji służących do czyszczenia selektywnie zbieranych odpadów rośnie, ale nie przekłada się to na oczekiwane efekty w zakresie ilości odpadów kierowanych do recyklingu.

W czym tkwi problem? Poziom recyklingu odpadów komunalnych oblicza się jako stosunek masy odpadów komunalnych przygotowanych do ponownego użycia i poddanych recyklingowi do masy wytworzonych odpadów komunalnych kierując się szczegółowymi zapisami Rozporządzenia Ministra Klimatu i Środowiska z dnia 3 sierpnia 2021 r. (Dz.U.2021.1530). W tym miejscu należy zaznaczyć, iż nie każda metoda przetworzenia odpadów może być uznana za proces recyklingu. Jest nim takie przetworzenie substancji zawartej w odpadach, które pozwala uzyskać materiał o pierwotnym lub innym przeznaczeniu. Nie są natomiast recyklingiem np. procesy odzysku

energii z odpadów. To, jaki proces przetworzenia możemy zastosować zależy od rodzaju selektywnie zbieranych odpadów. W dużym uproszczeniu możemy przyjąć na dzień dzisiejszy następujące założenia, co do przydatności poszczególnych frakcji do procesów recyklingu:

zbieranych selektywnie. W przypadku odpadów z tworzyw sztucznych i metali doświadczenie prowadzących zaawansowane technologicznie instalacje wskazuje, iż udział odzyskanych surowców kierowanych do recyklingu nie przekracza 30 %. Wynika to z obecności zanieczyszczeń

| Rodzaj zbieranej frakcji | Recykling | Inne procesy przetworzenia | Uwagi |
|-------------------------------|-----------|----------------------------|---|
| Papier | + | + | Z uwzględnieniem udziału zanieczyszczeń |
| Szkło | + | + | |
| Tworzywa sztuczne i metale | + | + | |
| BIOodpady z terenów zielonych | + | + | Do recyklingu zaliczamy tylko odpady przetworzone w instalacjach, w których wytwarzany kompost posiada zezwolenie na wprowadzony do obrotu jako nawóz lub środek poprawiający właściwości gleby – w woj. lubelskim spełnia ten wymóg 9 na 14 instalacji |
| BIOodpady kuchenne | + | + | jw. – w woj. lubelskim spełnia ten wymóg 4 na 14 instalacji |
| Odpady wielkogabarytowe | | + | |
| Odpady zmieszane | | + | Frakcja surowcowa wydzielona z odpadów zmieszanych, nadająca się do recyklingu, nie przekracza 3,5 % |

Co to oznacza? Przekładając to na skład morfologiczny odpadów zbieranych w Lublinie w roku 2022 (próba na podstawie 4 z 7 sektorów) frakcje, które potencjalnie mogą zostać poddane recyklingowi stanowią od 35,41 % (bez uwzględnienia bioodpadów kuchennych, dla których dostępna przepustowość instalacji jest mocno ograniczona) do 45,23 % (z uwzględnieniem bioodpadów kuchennych). Podkreślimy w tym miejscu, są to poziomy potencjalne, które należy pomniejszyć o udział zanieczyszczeń frakcji

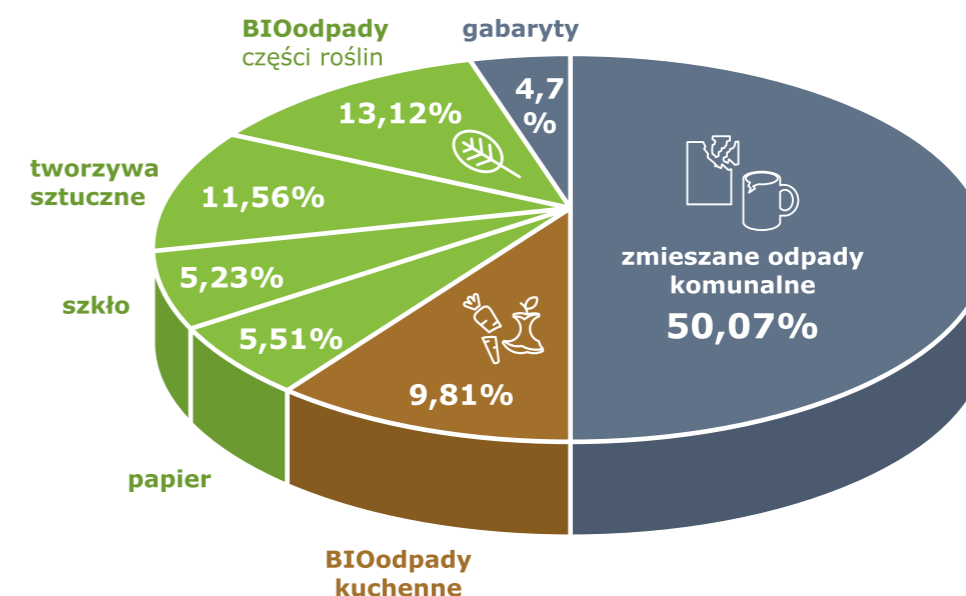
(błędy w segregacji), złej jakości właściwie segregowanych odpadów (np. butelka PET z termokurczliwą etykietą PVC nienadająca się do recyklingu) lub ograniczonej możliwości przetworzenia surowców ze względu na dostępność technologii (np. odpady wielomateriałowe). Podobne uwarunkowania występują w przypadku odpadów szkła i papieru.

Finalnie, jesteśmy w sytuacji, w której frakcje odpadów, dla których powszechnie dostępne są dziś metody recyklingu (papier, szkło, tworzywa

sztuczne oraz bioodpady stanowiące części roślin) stanowią niespełna 35%. To zaś oznacza nie tylko zagrożenie dla osiągnięcia celów recyklingu na roku 2025, ale nawet na rok 2024. W naszych rozważaniach nie możemy też abstrahować od sytuacji popytowo-podażowej na rynku surowców wtórnych. W chwili obecnej (wiosna 2023) np. recyklaty wytwarzane w Polsce i Europie nie są dla przemysłu, który z nich korzysta, atrakcyjne cenowo w porównaniu z surowcami pierwotnymi, co bezpośrednio przekłada się na ograniczone możliwości przekazania zebranych i przesortowanych odpadów do recyklingu. To pokłosie sytuacji związanej z agresją Rosji na Ukrainę i związanym z tym wzrostem kosztu energii i dostępnością tanich tworzyw z rynku azjatyckiego wytwarzanych na bazie eksportowanej tam (wobec embarga na innych rynkach) rosyjskiej ropy. Kolejne pytanie, to jak na funkcjonowanie systemu selektywnej zbiórki odpadów komunalnych wpłynie wprowadzenie systemu kaucyjnego?

około 50% wszystkich zbieranych frakcji. Co ciekawe nie jest to tylko nasza lokalna przydatność. Wedle danych za rok 2022 podobnie jest w innych dużych miastach (np. Gdańsk - 55,9 %, Kraków - 49,5 %, Poznań - 58,6 %, Wrocław - 61,7 %). Dziś z odpadów zmieszanych jesteśmy w stanie skierować do recyklingu jedynie do 3,5% odzyskanych odpadów. Należy jednak pamiętać, iż w ich strukturze blisko połowa to frakcje surowcowe, które zebrane selektywnie w dużej części można by oferować recyklerom. Druga połowa to bioodpady, których selektywna zbiórka, to działanie zalecane przez autorów raportu Komisji Europejskiej.

Poprawa struktury zbieranych odpadów nie jest oczywiście rzeczą prostą. Zważywszy jednak, iż na przestrzeni ostatnich czterech lat pozostaje ona w zasadzie niezmienna, należy się głęboko zastanowić nad przyczyną takiej sytuacji. Na marginesie, tych rozważań, chciałoby się nadto zapytać, na jakich przesłankach opierali swoje założenia autorzy „ustawy czysto-



Mamy więc do czynienia z problemem natury strukturalnej, którego rozwiązanie nie jest możliwe bez rozwoju i upowszechnienia technologii recyklingu odpadów wielkogabarytowych i bioodpadów kuchennych, ale przede wszystkim rozwoju selektywnej zbiórki odpadów. Konieczne jest ograniczenie ilości odpadów zmieszanych, które na dzień dzisiejszy stanowią w Lublinie

ściowej” zakładając roczne przyrosty osiągniętych poziomów recyklingu w latach 2022-2025 rzędu dziesięciu procent? Trudno było zakładać takie tempo zmian struktury odpadów, albo tak szybkiego przyrostu infrastruktury służącej ich zagospodarowaniu.



FOTO: Adobe Stock.

PORZUĆMY STEREOTYPY I UPRZEDZENIA

MAŁGORZATA POŁOK

Nie raz słyszymy: „oni to są inni” albo „my jesteśmy normalni, ale oni to mogliby zmądrzeć, zmienić się”. O kim ludzie tak się wypowiadają? O sąsiadach, którzy mają inne poglądy polityczne; o rodzinie, która żyje inaczej; o szefie, który wydaje nam polecenia; o kuzynce, która się rozwodzi, o koleżance, która jest innego wyznania, o blondynkach, o imigrantach i tak można byłoby przytaczać jeszcze wiele innych przykładów. To **stereotypy** – poglądy uproszczone i zafałszowane, ale wygodne w użyciu. Za ich sprawą ludzie uwalniają się od poznawania innych, od głębszej refleksji nad swoim sposobem myślenia. Stereotypy zamykają nasze myślenie. Dlaczego je tworzymy?

Stereotypy są nieprawdziwym, uproszczonym i najczęściej negatywnym obrazem jakiejś grupy

ludzi. Są wytworem kultury, czasem tak głęboko zakorzenionym w naszej świadomości, że wielu ludzi ma przekonanie o ich prawdziwości i nie przyjmuje do wiadomości informacji, które stereotypom przeczą.

Można przeprowadzić takie doświadczenie. Spróbuj dokończyć następujące zdania: „Polacy to ...”, „kobiety to ...”, „mężczyźni to ...”, a następnie porównaj swoją wypowiedź z innymi. Jeśli Twoja odpowiedź będzie brzmiała: „znam różne kobiety i każda z nich jest inna” to brzmi to neutralnie i prawdziwie, ale jeśli powiesz: „kobiety są bardzo wrażliwe” albo „kobiety nie potrafią podejmować szybko decyzji” to już myślenie stereotypowe. W odniesieniu do mężczyzn możesz uważać, że są twardzi albo brakuje im empatii i to także jest stereotyp.

Mówi się, że stereotypy oszczędzają nam wysiłku poznawczego, ułatwiają funkcjonowanie i skracają czas podejmowania decyzji. Tylko jakie to będą decyzje i zachowania? Bo skoro ja już wiem jaki Ty jesteś, zanim Ciebie jeszcze poznam, to nie mam potrzeby dowiadywać się co myślisz i jakie masz zdanie. Ja to już wiem, ponieważ mam zdanie na temat ludzi takich jak Ty, którzy mają inny zawód, inne poglądy polityczne, odmienne wyznanie, inne pochodzenie geograficzne, czy też są zwolennikami innego stylu życia. Tak właśnie powstają stereotypy.

Często jednak możemy być w błędzie, ponieważ osoba, o której myśleliśmy w określony sposób okazuje się zupełnie inna. Działa tutaj tzw. **efekt aureoli** – tendencja do automatycznego, pozytywnego lub negatywnego przypisywania cech osobowościowych na podstawie pierwszego wrażenia. Wyobraźmy sobie, że poznajemy nową osobę, która przybywa na spotkanie punktualnie. Oceniamy takie zachowanie jako pozytywne i uznajemy, że jest to osoba uczciwa, budząca nasze zaufanie. Nie znając człowieka przypisujemy jej inne pozytywne cechy, które wcale nie muszą być prawdziwe. Inny przykład: poznajemy osobę, która podczas pierwszego spotkania była bardzo małomówna i chłodna. Od razu może przyjść nam do głowy, że jest niemiła, wyniosła albo nas ignoruje. Nasze myśli krążą wokół negatywnych cech tej osoby, co może skutkować brakiem chęci jej poznania. A w rzeczywistości może to być osoba, która w kontaktach z nowym otoczeniem czuje się onieśmielona i zestresowana, a po bliższym poznaniu okazuje się bardzo ciepła i życzliwa. Taka pomyłka może zdarzyć się każdemu. Jeśli nie chcemy jej powtarzać warto nie ulegać automatyzmowi, tylko dać sobie szansę na prawdziwe poznanie drugiego człowieka, zanim wyrobimy sobie zdanie na jego temat. Warto również dopuścić czasem do siebie myśl, że się myliliśmy.

Stereotypy to sądy, które szybko się utrwalały – stosunkowo łatwo je potwierdzić, a trudno obalić. Wyrażamy je zazwyczaj z dużą pewnością co do ich trafności. Często jednak stereotypy okazują się błędne. Każdy z przykładów stereotypów łatwo skonfrontować z faktami i okazuje on się spłyceniem albo nieprawdą.

Dodatkowo pojawiają się uogólnienia. Nie każdy kto ma rude włosy ma taką samą osobowość, nie każdy, kto pochodzi z danego kraju

zachowuje się w pracy tak samo, nie każdy kto wyznaje daną religię identycznie traktuje swoją żonę, męża, czy dzieci. Uogólnienia są podstawowym błędem komunikacyjnym prowadzącym do niesłusznej oceny człowieka.

Z pozoru niegroźne stereotypy, w rzeczywistości mogą prowadzić do uprzedzeń oraz do dyskryminacji. Uprzedzenie to negatywna postawa, negatywny stosunek emocjonalny do drugiego człowieka, który przeszkadza a nawet wyklucza budowanie relacji. Dyskryminacja to nierówne, gorsze traktowanie innych.

Jeśli czujesz, że ulegasz stereotypom to pierwszym krokiem dla Ciebie niech będzie dopuszczenie myśli, że czasem możesz nie mieć racji, a następnie skonfrontowanie swoich opinii z faktami. W tym celu poznaj bliżej człowieka, o którym wygłaszasz sądy, zapytaj co myśli, co go interesuje, pobądź z nim, okaż zainteresowanie i szacunek. Nie musisz się z nim zgadzać, nie zawsze to możliwe, ale okaż szacunek – to zawsze możliwe.



Małgorzata Połok

Dyplomowany coach oraz trener biznesu. Ukończyła Szkołę Trenerów IBD Business School oraz Szkołę Coachów Akademii SETT. Posiada tytuł MBA z zakresu zarządzania przedsiębiorstwem.

Posiada ponad 22 lata doświadczenia zawodowego, z czego ponad 10 lat w zakresie prowadzenia szkoleń, warsztatów rozwojowych i rekrutacji oraz 12 lat jako menadżer. Od ponad 2 lat prowadzi profesjonalne sesje coachingowe. Jest praktykiem w dziedzinie marketingu, PR i sprzedaży. Pełna pomysłów i otwarta na ludzi. Inspiruje i sama wciąż poszukuje inspiracji.

Prywatnie żona i mama trójki dzieci. Kocha ludzi, naturę i podróżowanie. Nieustannie wspiera innych w ich działaniach.



NASZE PASJE

POLSKA WIEŚ TO KOBIETY!

FOTO: Z archiwum KGW.



O urokach życia na wsi oraz o tym czemu gospodynie zbierają się w koła i co z tego wynika rozmawiamy z **Eweliną Stachorzecką**, pracownicą Biura Obsługi Klienta.

ANNA MARZEC

Nie każdy, kto z Tobą pracuje wie czym się zajmujesz po pracy prawda? Uchyliś nam rąbka tajemnicy?

Niechętnie dzielę się swoim życiem prywatnym, ale dla Ciebie zrobię wyjątek.

Obiecuję nikomu nie powiem...

Dzielę swój czas między pracę na roli a opiekę nad zwierzętami. Dużą część mojego życia zajmuje nasz drób. Mamy obecnie kury, kaczki i gęsi. Ostatnio zainwestowaliśmy w inkubator dla jaj i w ten sposób możemy doczekać się młodych gęsi, gdyż ich mamy są mało obowiązkowe. Zeszłego lata mój mąż wybudował im nowy kurnik i wybieg. Mam też własne warzywa i owoce a co za tym idzie, część życia spędzam na ich uprawie. Nie ma to jak własny kawałek warzywniaka. Generalnie nie ma nudy! A co

najważniejsze – jestem z siebie dumna, kiedy na wiosnę jemy własną rzodkiewkę, później do zupy mogą użyć własnej marchewki i cebulki, a do deseru truskawek czy też porzeczek. Mam wielką frajdę z siania, pielienia, podglądania jak kiełkują i rosną rośliny. No i oczywiście ogromną satysfakcję z zebranych plonów i zrobionych zapasów na zimę. Chyba wszyscy już wiemy, że obcowanie z naturą daje radość. Przy grzebaniu w ziemi uwalniają się endorfiny. Wiosna, lato i jesień, to czas wytężonej pracy. Zima to okres nieco spokojniejszy. Wiosną trwają prace w polu, które należy zarać i obsiać, ale to już działka mojego męża. Ja natomiast w tym czasie sięję ogródek. Czerwiec to okres sianokosów i zbiorów truskawek. Koniec lipca to z kolei okres żniw. Sierpień przynosi bardziej deszczową aurę

i jest to czas zbiorów owoców i warzyw. Wrzesień to przede wszystkim wykopki, organizujemy sobie wtedy ognisko i pieczemy ziemniaki, które znacznie umilą nam ten czas. Jesienią natomiast zbieram to, o co dbałam od wczesnej wiosny. Swoje własne ekologiczne warzywa i owoce. Nie zapominam o moich ukochanych kwiatkach. Te delikatne przygotowuję do zabezpieczenia przed zimą. Przycinam co jest do przycięcia, żeby przed mrozami zdążyły zagoić się rany. Kiedyś tuż po Świętach z niecierpliwością czekałam na wiosnę, denerwując się każdym powrotem zimy. Dziś wiem, że każda pora roku jest ważna i potrzebna, a mroźna i śnieżna zima decyduje o plonach i zbiorach latem. Mamy tradycyjne gospodarstwo rolne z polem, ciągnikiem, stodołą, oborą i dużym kurnikiem, taki swojski obraz. Dodatkowo swój wolny czas poświęcam na spotkania z dziewczynami z Koła Gospodyń Wiejskich we wsi, której mieszkam – Kolonia Zawieprzyce.

To piękna okolica, ruiny zamku, lasy, łąki, dlatego moje kolejne pytanie dotyczy stereotypów... Czy uważasz, że pochodzenie i mieszkanie na wsi jest „gorsze” od mieszkania w mieście?

Ja bym za nic na świecie nie zamieniła życia na wsi na życie w mieście. Na wsi się wychowałam i mieszkam do tej pory. Nie da się ukryć – życie płynie tu zdecydowanie innym torem i ma przy tym wiele zalet. Wieś zapewnia ciszę i spokój poprzez przebywanie z dala od miejskiego gwaru i hałasu. Uważam, że dobrym argumentem jest też świeże powietrze, dużo drzew i lasów, a także własne uprawy warzyw i owoców. Mogę się w każdej chwili wybrać na spacer na łąkę lub do lasu a jesienią na grzyby. Wśród młodych ludzi promowany jest zdrowy tryb życia, zdrowa żywność, sport, a wieś jak najbardziej spełnia te wymogi. Komunikacja pomiędzy wsią a miastem jest dobrze rozwinięta, więc kwestia dojazdu nie może odgrywać negatywnej roli. Budowanych jest coraz więcej szlaków rowerowych w mojej okolicy również. W sercach młodych ludzi mimo osiedlenia w miastach, nadal pozostaje tęsknota za domem rodzinnym, do wsi tam, gdzie się urodzili i spędzili dzieciństwo. Sama też uciekam na wieś.

Czy cała Twoja rodzina włącza się aktywnie w życie wiejskie?

Tak oczywiście, moja bratowa i teściowa należą do Koła Gospodyń Wiejskich. Tak naprawdę



to za namową teściowej zapisałam się do naszego koła i nie żałuję dzięki temu poznałam wiele wspaniałych kobiet, chociaż na początku byłam do tego pomysłu nastawiona sceptycznie. Mój mąż również bierze aktywny udział w życiu naszej społeczności. Od 18 lat należy do Ochotniczej Straży Pożarnej, natomiast od 5 lat jest Naczelnikiem OSP Zawieprzyce - Kolonia. Bierze udział w czynnościach ratowniczo-gaśniczych. Pomaga też w organizacji imprez masowych: lokalnych uroczystości, festynów. Za każdym razem, gdy wyjeżdża na akcję czuję strach, a zarazem jestem z niego bardzo dumna. Jest to człowiek zdolny do poświęceń i niesamowicie odważny, który ani chwili nie waha się by pomóc innym.

Myśląc o kole gospodyń jawi mi się obraz starszych Pań w chustach, czy to prawda?

Większość z nas słysząc o Kołach Gospodyń Wiejskich ma właśnie taki obraz w głowie - starsze panie, które śpiewając ludowe pieśni zajmują się robotkami ręcznymi. Jednak dziś to wyobrażenie powinno się zmienić – współczesne KGW, a jest ich kilkanaście tysięcy w Polsce, to nowoczesne i świadome kobiety, które aktywizują życie na wsi i promują tradycyjną polską kuchnię.

FOTO: Z archiwum KGW.

Przekrój wiekowy w naszym kole jest dość spory, cieszymy z każdej nowej członkini.

W jaki sposób zachęciłabyś młode dziewczyny, kobiety do wstąpienia w szeregi takich organizacji jak KGW?

W Kole Gospodyń Wiejskich działają również młode kobiety, które wykazują się dużą kreatywnością i pomysłowością. Dla jednych przynależność do koła oznacza fajnie spędzony czas, dla innych staje się odskocznią od codziennych obowiązków i problemów, a dla jeszcze innych jest doskonałą szkołą, dzięki której mogą zdobyć m.in. tradycyjną i kulinarną wiedzę dotyczącą regionu. Mam nadzieję, że dzięki tym co robimy zachęcimy młode dziewczyny i kobiety do włączenia się i zaangażowania w naszą działalność. Zależy nam, żeby ta tradycja była kontynuowana i żeby nie popadły w zapomnienie dawne przepisy. Drzwi do naszego koła są zawsze otwarte!

Z ilu członków w tej chwili składa się Wasze koło?

Nasze koło zrzesza obecnie aż 44 członków w różnym wieku, w tym 39 pań i 5 panów. Organizacja powstała głównie, aby integrować mieszkańców wsi, jak również aktywnie działać na rzecz rozwoju lokalnego i społecznego. W naszej działalności jest miejsce na nowoczesność i tradycję, chcemy łączyć pokolenia. W różnych uroczystościach jakie organizujemy, uczestniczą osoby w różnym wieku, zarówno młode jak i osoby starsze. Przebywając razem zapominamy o kłopotach dnia codziennego. Relaksujemy się i cieszymy obecnością drugiego człowieka. Dla nas najważniejsze jest to, że każdy członek naszego koła może spełnić się w tym, co lubi i co potrafi. Wspólne inicjatywy są naszą



pasją i będziemy się starać, aby w przyszłości były skierowane głównie na lokalną społeczność i wzbudzały aktywność wśród mieszkańców naszej miejscowości. Ciągłe się rozwijamy i jesteśmy otwarte na nowe osoby.

Od ilu lat istnieje Wasze Koło?

Koło Gospodyń Wiejskich Zawieprzyce - Kolonia powstało w 2018 r., w tym roku obchodzimy 5-lecie. Nasze KGW od razu z początkiem swojego istnienia zostało zarejestrowane w ARiMR. Uzyskane do tej pory dofinansowanie pozwoliło nam na zakup najważniejszych urządzeń umożliwiających rozpoczęcie działalności. Spotkania organizujemy w naszej świetlicy, która jest naszym centrum kultury i rozrywki. Jest to jedyne miejsce kultury spotkań zarówno dzieci i młodzieży jak i dorosłych, a także członkiń naszego Koła. Podczas spotkań dzielimy się wiedzą, pomysłami, przekazujemy tradycję, wspieramy się wzajemnie, a wszystko to odbywa się w wesołej, przyjaznej atmosferze. Dobrze czujemy się w swoim towarzystwie. Często organizujemy tam zabawy np. sylwestra, andrzejkę, festyny, imprezy integracyjne, które cieszą się wielką popularnością wśród mieszkańców naszej wsi. Spotkania mają być odskocznią od codzienności, odpoczynkiem od pracy zawodowej czy domowych obowiązków. To taka „chwila dla siebie”. Pragniemy również zintegrować lokalną społeczność. Chcemy dzielić się swoją kreatywnością, pomysłowością. Cały czas staramy się działać i być aktywne.

Kto w ogóle wpadł na pomysł założenia KGW w Zawieprzycach Kolonii?

Na pomysł założenia koła wpadła pani Jagoda Chmielewska, która jednocześnie została Przewodniczącą naszego koła. Z perspektywy czasu widać jak dobra i trafna była to decyzja. Bycie członkiem KGW to przede wszystkim możliwość integracji, wspólnych wyjazdów, aktywnego spędzania czasu. W dużej mierze działalność naszego koła ma charakter samopomocowy. Obudziło to wiele dobrych inicjatyw i chęci wspólnego działania na rzecz lokalnej społeczności. Jest to okazja do dobrej zabawy, zapomnienia o troskach i problemach dnia codziennego, a tego niestety brakuje nam coraz bardziej. Cieszy nas, gdy członkowie naszego koła przychodzą na spotkania z dobrą energią - to się bardzo szybko udziela. Tworzymy aktywną grupę osób, które chcą dać coś od siebie. Nie

spotykamy się regularnie, ale w zależności od potrzeb. Podczas takich spotkań przygotowujemy się np. do uczestnictwa w różnych imprezach jak dożynki czy festyny rodzinne.

Czy koło ma jakieś szczególne osiągnięcia na swoim koncie? Może zechcesz się nimi pochwalić?

Nasze koło jest bardzo aktywne i bierze udział w wielu organizowanych konkursach dla KGW. Staramy się uczestniczyć w największych wydarzeniach w naszej gminie i nie tylko. W sierpniu 2019 r. w święto Matki Boskiej Zielnej w Stoczku odbył się po raz pierwszy konkurs na tradycyjny bukiet zielny, gdzie zajęłam I miejsce. We wrześniu 2019 r. brałyśmy udział w Dożynkach powiatowych, w projekcie Starostwa Powiatowego „Na zdrowie”, gdzie wydana została broszura z naszymi przepisami. Zajęłyśmy również

I miejsce w Głębokiem w konkursie na potrawę z ziemniaka. Rok później reprezentowałyśmy nasze Koło i jego wyroby kulinarne w Telewizji Lublin w programie „Poranek między Wisłą i Bugiem”. W lipcu 2021 r. w naszej gminie po raz pierwszy odbyło się Święto Truskawki. Nie mogło nas tam zabraknąć. Nasza koleżanka brała udział w konkursie na najlepszą potrawę z truskawek, gdzie zajęła I miejsce. Chętnie współpracujemy z naszą gminą, z biblioteką gminną (projekt „Budujemy spiczynski most pokoleń”), a z GCK w Ziółkowie brałyśmy udział w spotkaniu wigilijnym, robiłyśmy potrawy do paczek dla potrzebujących. Po wybuchu pandemii aktywnie włączyłyśmy się w akcję szycia maseczek, które zostały przekazane do różnych instytucji. Czynnie uczestniczymy w różnych akcjach charytatywnych, do których jesteśmy zapraszane.

Z jakimi problemami w dzisiejszych czasach przychodzi zmierzyć się Członkiniom takich organizacji jak Koła Gospodyń Wiejskich?

Przynależność do koła to działalność społeczna, która wymaga poświęcenia i czasu. Nie jest to łatwe, bo większość z nas pracuje zawodowo a są jeszcze obowiązki domowe. Wygospodarowanie wolnego czasu niejednokrotnie graniczy z cudem, ale mimo wszystko staramy się to czynić,

by móc wspólnie go spędzać angażując się w nasze działania.

W jaki sposób ludzie reagują na to co robicie? Czy są zadowoleni z tego, że na różnych wydarzeniach publicznych pojawiają się stoiska z typowo regionalnym jedzeniem?

Jesteśmy pozytywnie odbierane przez mieszkańców wsi. Często słyszymy podziękowania i miłe komentarze. Dla nas motywacją jest dobre słowo i rezultaty naszych działań, kiedy są zauważone i przynoszą zamierzone cele. Charakterystycznymi produktami, które można znaleźć na naszych stoiskach wystawienniczych są różnego rodzaju pierogi, ciasta, tradycyjnie wypiekany chleb na zakwasie, nalewki z naszych

lokalnych produktów. Z roku na rok coraz więcej ludzi odwiedza nasze stoisko i zachwyca się różnego rodzaju tradycyjnymi potrawami.

Czy Twoim zdaniem tradycja i regionalizm są ważne w dzisiejszych czasach?

Oczywiście. Tradycja jest naszym bogactwem, narodowym dziedzictwem kulturowym, kopalnią wiedzy o przeszłości. Dzięki niej znamy swoją tożsamość, możemy korzystać z mądrości ludowych.

Kontynuujemy tradycje kulinarne po naszych rodzicach oraz dziadkach. Chcemy zachować te smaki i tradycje dla przyszłych pokoleń. Kontakt z tradycją wpływa na człowieka w bardzo pozytywny sposób. Według mnie, każda osoba powinna mieć świadomość swojej tożsamości regionalnej- znać zwyczaje regionalne, święta, historię, zabytki. Pomimo tego, iż w dzisiejszych czasach prowadzimy szybki tryb życia warto znaleźć chwilę, aby poznać lub poszerzyć wiedzę na temat swojego regionu. Uważam, że przekazywanie tradycji, kultury pokoleniom jest ważne, dlatego staramy się je pielęgnować, rozwijać by trwały jak najdłużej. Mam nadzieję, że nasza kultura narodowa i kultura wiejska nie zostanie zapomniana między innymi dzięki aktywnie działającym kołom gospodyń.



FOTO: Z archiwum KGW.



GINĄCY ŚWIAT

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu,
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi;
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Adam Mickiewicz. Sonety Krymskie.

DR ANNA CWENER – Ogród Botaniczny UMCS

Stepy opiewane w poematach czy pieśniach, choćby w Sonetach Krymskich A. Mickiewicza czy piosence znanej z telewizyjnego serialu o przygodach Pana Michała mogą wywoływać w nas tęskne westchnienia za przestrzenią i wolnością. To przecież morza, a nawet oceany traw - „suchego przestwór oceanu”, jak pisał Mickiewicz, „którego nawet sokolim okiem nie zmierzysz”. Bezkrzesne stepy to nie tylko ginący sentymentalny świat ale i ginące siedlisko przyrodnicze.

Stepy to formacja roślinna czyli typ roślinności, którego podstawowym składnikiem są trawy. Wykształcają one w strefie klimatu umiarkowanego, w głębi platform kontynentalnych, gdzie lata są gorące i suche, niekiedy zupełnie bezdeszczowe, a zimy dość długie i ostre. Występowanie zimy różni stepy od sawanny – formacji roślinnej klimatu międzyzwrotnikowego.

Charakterystyczną cechą stepów jest brak drzew. Głównym czynnikiem ograniczającym rozwój lasów jest deficyt wody w glebie, potencjalne parowanie dwukrotnie przekracza tu wysokość opadów. Drzewom nie sprzyjają także silnie wiejące wiatry oraz występujące na stepach pożary.

Stepy występują zarówno na półkuli północnej, jak i na południowej. W Ameryce Południowej trawiaste pampy zajmują obszar między Andami i atlantyckim wybrzeżem kontynentu we wschodniej Argentynie, w Urugwaju i w południowo-wschodniej Brazylii. W Ameryce Północnej formacje stepowe nazywane preriami zajmują obszar Wielkich Równin. Jednak największe obszary tej formacji roślinnej zajmują na kontynencie eurazjatyckim. Stepy ciągną się pasem szerokim na 600, a miejscami nawet 800 km i 5 000 km długim: od północno-zachodnich pobrzeży

FOTO: Murawa kwietna. Ze zbiorów Ogródu Botanicznego UMCS.

Morza Czarnego poprzez Kotlinę Dżungarską, po Mongolię i północno-wschodnie Chiny.

W Europie strefa stepów rozciąga się od obszarów nad dolnym Dunajem, przez tereny nad środkową Wołgą po południowy Ural. Osobnym ośrodkiem występowania roślinności stepowej jest Nizina Węgierska - puszta. W obszarze tym zarówno w kierunku wschód-zachód, jak i północ-południe zaznacza się zróżnicowanie klimatu oraz gleb. Zachodnia część europejskiego obszaru stepowego cechuje się większymi opadami i nieco łagodniejszym klimatem, okres wegetacyjny trwa tu ok. 190 dni, dalej na wschód czas korzystny dla rozwoju roślinności skraca się do 160-175 dni. Zróżnicowanie klimatyczne zaznacza się również w kierunku z północy ku południowi. Na północy stepy graniczą ze strefą lasów, na południu wykształcają się stepy suche (w Azji na południu stepy sąsiadują z pustyniami). Bezpośrednio ze strefą lasów graniczy strefa lasostepu, a bardziej na południe rozciąga się pas stepu kwietnego (łąkowego albo północnego). Jest to najpiękniejsza i najbogatsza postać stepu. Budują go nie tylko trawy ale i liczne, okazałe kwitnące byliny dwuliścienne. Na 1 m² można spotkać tu 80 gatunków roślin, a ogólną liczbę gatunków występujących w tej strefie szacuje się na 220. Na piękno stepu kwietnego wpływa także duża ilość barwnych aspektów sezonowych. Kolejno zakwitają różne gatunki, a że kwitną w dużej ilości w krajobrazie dominuje jeden kolor. Takich kolorystycznych zmian na stepie kwietnym jest 12 w ciągu sezonu wegetacyjnego. Dalej na południe step kwietny zmienia się stopniowo w step właściwy czyli trawiasty (ostnicowo-kostrzewowy) – „ocean traw”. W stepie właściwym ogólna liczba gatunków wynosi ok. 100-150, a na 1 m² przypada ich około 25. Aspektów barwnych w stepie właściwym jest zaledwie kilka. Jeszcze dalej na południe, zmniejsza się ilość opadów, co pociąga za sobą dalszy spadek bogactwa gatunkowego i ograniczenie, do 1 lub 2, aspektów barwnych. Step trawiasty przechodzi w step pustynny nazywany bylicowym, piołunowym, suchym lub południowym. Tworzy go zaledwie kilkadziesiąt gatunków, a na 1 m² rośnie ich tylko od 3 do 5.

Klimat i związana z nim roślinność wpływają na wykształcanie się określonego typu gleb. Ponieważ w klimacie strefy stepowej opady są niewielkie, a parowanie duże, produkty

wietrzenia nie są wymywane. Ponadto rozkład próchnicy przebiega powoli i jej duża ilość gromadzi się w górnej warstwie gleby, tworząc bogaty poziom próchnicy o miąższości od 70 do 160 cm. To właśnie w strefie stepów wykształcają się bogate w składniki pokarmowe czarnoziemy, które należą do najurodzajniejszych gleb kuli ziemskiej. Stąd obszary zajmowane przez stepy dość wcześnie zostały przekształcone w pola uprawne i pastwiska. Szacuje się, że w Europie zagładzie uległo od 80 do ponad 90% powierzchni stepów. Dziś ocalałym fragmentom stepów nad Morzem Czarnym zagraża wojna. W strefie bezpośrednich działań bojowych znalazły się choćby naturalne stepy na kredowych zboczach w Donbasie. Przyrodnicy ukraińscy stworzyli listę gatunków szczególnie zagrożonych na skutek trwających działań wojennych, znalazło się na niej wiele gatunków stepowych, w tym endemitów, czyli gatunków, które wysypują tylko tym terenie i nigdzie indziej na świecie.

A czy w Polsce występują stepy? Na pewno występowały, świadczy o tym obecność czarnoziemów, np. w okolicach Hrubieszowa. Polska leży w klimacie bardziej sprzyjającym rozwojowi drzew, niemal w całości położona jest w klimatyczno-roślinnej strefie lasów liściastych rzucających liście na zimę. Jednak w miejscach o szczególnej kombinacji warunków orograficznych, glebowych i mikroklimatycznych wykształcają się zbiorowiska roślinne nawiązujące do stepów. Dla odróżnienia od właściwych stepów nazywane są murawami kserotermicznymi. Najbardziej typowe murawy kserotermiczne występują w Polsce południowej; na Śląsku, na Wyżynie Małopolskiej, Lubelskiej i Wołyńskiej oraz w okolicach Przemyśla, a w Polsce północnej nad dolną Wisłą i dolną Odrą. Jak wspomniano wyżej zajmują one siedliska o szczególnych warunkach mikroklimatycznych: dużym nasłonecznieniu, co za tym idzie wysokich temperaturach gleby i powietrza oraz małej wilgotności. Najczęściej są to suche, słoneczne zbocza wzgórz, dolin rzecznych i wąwozów, o ekspozycji południowej, zachodniej, rzadziej wschodniej, przeważnie na podłożu zasobnym w węglan wapnia, o glebach mających charakter rędzin, gleb brunatnych i czarnoziemów. Miejsca takie sprzyjają roślinom ciepłolubnym, a panujące tam, zwłaszcza latem, deficyty wody hamują wzrost bardziej wilgociolubnych gatunków. Murawy kserotermiczne występujące



FOTO: Step w Askanii Nowej.

w Polsce nie są jednorodne lecz wykazują zróżnicowanie w zależności od typu siedliska, jakie zajmują i od regionu Polski, w którym się wykształcają (historii rozwoju roślinności na danym terenie). Na glebach drobnoziarnistych, w miejscach szczególnie suchych i łatwo nagrzewających się, wykształcają się murawy najbardziej pod względem składu florystycznego i wyglądu przypominające prawdziwe stepy ostnicowe. Są to dość luźne murawy z przewagą kępkowych traw, szczególnie ostnic i kostrzew. Licznie występują w nich także rośliny roczne, które rozwijają się wczesną wiosną, a późniejszy okres suszy i zimy przetrzymują w postaci nasion. Na płytkich glebach na podłożu wapiennym (np. rędziny) oraz na czarnoziemach wykształcają się murawy przypominające stepy łąkowe. Są to zwarte murawy z przewagą traw tworzących darnie oraz z licznym udziałem dwuliściennych roślin wieloletnich (bylin). Nasze murawy mają również swoje sezonowe aspekty barwne. Wczesną wiosną rozpoczynają kwitnienie młeki wiosennej *Adonis vernalis*, pięciornik piaskowy *Potentilla arenaria*, turzyca niska *Carex humilis* oraz szczyrki ruski *Chamaecitissus ruthenicus* i rozesłany *Ch. ratisboniensis*. Maksimum rozwoju muraw przypada na późną wiosnę i wczesne lato, wówczas do kwiatów o barwach żółtych dołączają białe (np. zawilec wielokwiatowy *Anemone sylvestris*, wisienka karłowa *Cerasus fruticosa*, marzanka pagórkowa *Asperula cynanchica* i barwierska *A. tinctoria*), różowe,

(np. chabry: pannoński *Centaurea pannonica*, driakiewnik *C. scabiosa* i nadreński *C. stoebe*) fioletowe (dzwonki: syberyjski *Campanula sibirica*, boloński *C. bononiensis*, jednostronny *C. rapunculoides*), błękitne (przetaczniki: ożankowy *Veronica chamaedrys*, ząbkowany *V. austriaca* i kłosowy *V. spicata*), kremowe (traganek szerokolistny *Astragalus glycyphyllos* i pęcherzykowi *A. cicer*) i inne. W drugiej połowie lata kwitnienie maleje, a niektóre gatunki zapadają w stan spoczynku. Jesienią następuje ponowne, lecz mniejsze ożywienie, w tym czasie zakwitają np. aster gawędka *Aster amellus*, driakiew żółtawa *Scabiosa ochroleuca*, ożota zwyczajna *Linosyris vulgaris*.

Murawy kserotermiczne są uboższe w gatunki niż stepy, mimo to są bogate florystycznie i stanowią ostoję wielu gatunków rzadkich i zagrożonych. Blisko 30 % gatunków na polskiej czy regionalnej lubelskiej czerwonej liście roślin zagrożonych to gatunki związane z murawami kserotermicznymi. Niewielkie porzrucane w krajobrazie rolniczym powierzchnie muraw stanowią swego rodzaju wyspy siedliskowe wzbogacające różnorodność biologiczną i krajobrazową. Niestety zbiorowiska bezleśne w strefie lasów narażone są na zarastanie. Większość muraw kserotermicznych występujących w Polsce ma charakter półnaturalny i utrzymuje się dzięki działalności człowieka. W przeszłości strome czy kamieniste zbocza, czyli miejsca nie nadające się do zaozowania, były użytkowane jako pastwiska.



Wypas hamował naturalne procesy sukcesji i sprzyjał rozwojowi światłolubnych gatunków. Obecnie na skutek zaprzestania użytkowania murawy zarastają drzewami i krzewami, co powoduje przede wszystkim zmniejszenie nasłonecznienia i wzrost wilgotności podłoża. Ponadto gromadzący się wojłok (nierozłożone szczątki roślin) zwiększa żyzność podłoża i uniemożliwia kiełkowanie wielu gatunków roślin murawowych (owocki i nasiona nie docierają do gleby lub podczas kiełkowania mają za mało światła). Sprzyja to rozwojowi bardziej ekspansywnych mezofilnych gatunków i powoduje ustępowanie roślinności kserotermicznej. W przeszłości powierzchnie muraw zmniejszały się skutek zajmowania pod uprawę oraz zalesiania. Pod koniec lat 60-tych na Lubelszczyźnie znano kilkadziesiąt stanowisk muraw kserotermicznych. Ich powierzchnię szacowano na 1100 ha, po 20 latach oceniano, że powierzchnia muraw zmniejszyła się o ok. 30%. Dziś głównym zagrożeniem dla muraw kserotermicznych jest brak użytkowania i w konsekwencji sukcesja naturalna. Obecnie znamy ok. 200 stanowisk muraw kserotermicznych, biorąc pod uwagę nawet niewielkie skrawki z gatunkami kserotermicznymi nawet 300, a ich łączną powierzchnię można oszacować na 350-400 ha. Wydaje się, że to dużo, ale dla porównania miasto Lublin zajmuje 14 740 ha, murawy objęłyby niespełna 3% powierzchni miasta.

Na murawach objętych ochroną w formie rezerwatów przyrody lub ujętych w sieć Natura

2000 prowadzone są zabiegi ochrony czynnej, które powstrzymują zanikanie muraw. Jednak wiele stanowisk z roślinnością kserotermiczną pozostawionych jest „samym sobie”, te w szybkim tempie ulegają procesom naturalnej sukcesji. Z krajobrazu znikają piękne, barwne płaty muraw. Ginią siedliska, a wraz z nimi tworzące je gatunki.



dr Anna Cwener

Botanik i przyrodnik, pracownik naukowy Ogródu Botanicznego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, zajmuje się badaniem i ochroną muraw kserotermicznych na Lubelszczyźnie, współautorka atlasu „Flora Polski. Rośliny kserotermiczne”.

FOTO: Murawa ostnicowa.

RZECZY POMIESZANIE

ADAM PRZYSTUPA

Czasem ważnych, czasem błahych, czasem intrygujących,
ale zawsze prawdziwych...

Słynny malarz Zdzisław Beksiński przez kilka lat pracował w sanockiej fabryce „Autosan” jako tzw. plastyk, czyli osoba odpowiedzialna za projektowanie nadwozia autobusów. Kontynuował tym samym tradycję rodzinną, gdyż jego pradziadek Mateusz był jednym z założycieli warsztatu kowalско-kotlarskiego, który dał początek późniejszej wytwórni wagonów i autobusów. Beksiński stworzył 4 projekty pojazdów, które bardzo mocno wyprzedzały ówczesną rzeczywistość. Niestety ani trzy prototypy autobusów (SFA-1, SFA-2 i SFA-3), ani projekt mikrobusu SFA-4 Alfa nie weszły do produkcji seryjnej. Najbliższy szczęśliwego finału był mikrobus - wykonano serią próbną liczącą 20 egzemplarzy. Malarz był również twórcą pierwszego logo fabryki „Autosan” zawierającego symbol bocianiego skrzydła.

Kwadratura koła to powiedzenia określające coś niemożliwego do osiągnięcia. Niewielu z nas zdaje sobie jednak sprawę, że to jeden z trzech wielkich problemów starożytnej matematyki greckiej (obok trysekcji kąta i podwojenia sześcianu). Spadkobiercy Pitagorasa postawili sobie za cel skonstruowaniu kwadratu, którego pole równe jest polu danego koła przy użyciu wyłącznie cyrkla i linijki bez podziałki. Zmagano się z tym zadaniem przez wieki, aż w XIX stuleciu udowodniono matematycznie (opierając się na twierdzeniu Wantzela oraz wywodzie Ferdinanda Lindemanna o tym, iż n jest liczbą przestępną), że jest to zadanie niewykonalne. Ponieważ jednak inne powiedzenie mówi, iż nie ma rzeczy niemożliwych, próby wykreślenia kwadratury koła nie ustały. W roku 1894 r. amerykański lekarz Edward J. Goodwin orzekł, iż tego dokonał, tyle tylko, iż w tym celu... zmienił wartość liczby π z 3,14 na 3,20. Swój wywód opublikował w American Mathematical Monthly a następnie doprowadził do przyjęcia go jako ustawy („Indiana π Bill”) w 1897 r. przez Izbę Reprezentantów Stanu Indiana. Na szczęście zakusy, by prawnie usankcjonować nowe prawo matematyczne zostały zablokowane w Izbie Senackiej.

U niemal wszystkich gatunków zamieszkujących ziemię płeć jest determinowana genetycznie. Wyjątek stanowią, niektóre gatunki gadów, u których zauważono towarzyszącą genetyce korelację z temperaturą w jakiej rozwijają się jaja. U żółwia greckiego z jaj inkubowanych w niższej temperaturze (25-30°C) wylęgają się prawie wyłącznie samce, a w wyższej temperaturze (31-35°C) prawie wyłącznie samice. Podobnie u żółwia błotnego, po inkubacji poniżej 28°C wylęgają się samce, a powyżej 29°C samice; w temperaturze pośredniej wylęgają się osobniki obu płci. Podobny mechanizm zaobserwowano u agamy czerwonogłowej i aligatora amerykańskiego.

Najbardziej znanym zabytkiem polskiej liryki średniowiecznej jest powstały około 1470 r. anonimowy wiersz znany jako „Lament świętokrzyski” (zaczynający się od słów: „Posłuchajcie, bracia, miła...”). Wszystko za sprawą „Symfonii pieśni żałobnych” Henryka Mikołaja Góreckiego, w którą autor wplótł ów tekst przechowywany w oryginale w klasztorze benedyktyńskim na Łysej Górze. Napisana w 1976 r. awangardowa symfonia, przez lata niedoceniana zyskała światową popularność w 1992 r. za sprawą nagrania London Sinfonietty (dyr. David Zinman, sopran: Dawn Upshaw). Płyta osiągnęła 6 miejsce na liście przebojów muzyki popularnej w Wielkiej Brytanii i przez 38 tygodni zajmowała pierwsze miejsce na liście przebojów muzyki klasycznej w USA, rozchodząc się w przeszło milionowym nakładzie.

Rybi rekordzista zanurzenia

U wybrzeży Japonii, w miejscu zwanym Rowem Izu-Ogasawara na głębokości 8 336 m naukowcy z Western Australia University sfilmowali młodego osobnika nieznanego gatunku ryb z rodzaju *Pseudoliparis* należącego do rodziny dennikowatych. To największa głębokość, na jakiej dotychczas znaleziono żywą rybę. Dotychczasowy rekord należał do innej ryby, którą z kolei spotkano w 2017 r. na głębokości 8 178 m w Rowie Mariańskim. Warto wiedzieć, iż dennikowate w szczególny sposób przystosowały się do warunków panujących na takich głębokościach – nie posiadają pęcherza pławnego a ich galaretowate ciało nie jest pokryte łuskami. Podczas tej samej ekspedycji na głębokości 8 022 m złowiono kilka osobników należących do gatunku *Pseudoliparis belyaevi*. To również rekordowe okazy. Dotąd nigdy nie złowiono ryb na tak dużej głębokości.

Źródło: www.national-geographic.pl



FOTO: Wikipedia.

Plastikoza

Naukowcy z Australii i Wielkiej Brytanii opisali na łamach pisma „Journal of Hazardous Materials” pierwsze przypadki nowej jednostki chorobowej u ptaków morskich - choroby zwłóknieniowej rozwiniętej w odpowiedzi na ekspozycję na tworzywa sztuczne, dla której zaproponowali miano Plastikozy (Plasticosis). Prowadzone przez nich badania populacji burzyków bładodziobych (*Ardenna carneipes*) na położone 600 km od wschodniego wybrzeża Australii wyspie Lord Howe, wykazały spożywanie przez nie unoszących się na powierzchni oceanu fragmentów plastiku. Powoduje on powstawanie przewlekłych stanów zapalnych w układach pokarmowych ptaków. Efektem są bliznowacenie i zwłóknienia tkanek,

które utrudniają trawienie pokarmu poprzez upośledzenie gruczołów kanalikowych odpowiedzialnych za wydzielanie śluzu chroniącego nabłonek przewodu pokarmowego oraz produkcję pepsynogenu, kwasu solnego i czynnika wewnętrznego kluczowych dla trawienia i wchłaniania białek oraz składników odżywczych. Skutkami plastikozy są również zwiększona podatność ptaków na infekcje oraz karłowatość.

Źródło: www.sciencedirect.com

FOTO: Adobe Stock.

Najbardziej wytrzymały materiał świata

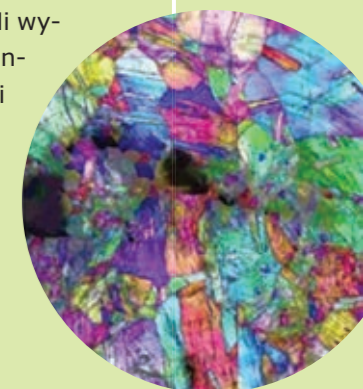
Miano najbardziej wytrzymałego materiału na świecie należy od niedawna do metalicznego stopu wykonanego z chromu, kobaltu i niklu (CrCoNi). Materiał ten jest ponad 100 razy twardszy niż grafen i staje się jeszcze bardziej odporny na uszkodzenia w ekstremalnie niskich temperaturach, podczas gdy w przypadku innych materiałów mamy do czynienia z efektem odwrotnym. To zasługa składu nowego stopu, który należy do grupy stopów o wysokiej entropii (HEA) tzn. takich w których wszystkie tworzące go składniki zmieszano w równych ilościach. Hamuje to tworzenie faz międzymetalicznych odpowiedzialnych za kruchość materiału. Przy spadku temperatury do - 253°C stop CrCoNi wytrzymuje nacisk na poziomie 500 megapaskali na metr kwadratowy (w tych samych warunkach wartość ta dla aluminium, które jest wykorzystywane w przemyśle lotniczym wynosi 35, natomiast dla najlepszych rodzajów stali „tylko” 100). Badania nad tym niezwykle wytrzymałym, ale i kosztownym materiałem prowadzone są od 10 lat. Równolegle prowadzono pracę nad stopem składającym się z chromu, manganu, żelaza, kobaltu i niklu (CrMnFeCoNi), ale w jego przypadku otrzymane wyniki nie były tak zadziwiające.

Źródło: www.science.org

Grzybami w polipropylen

Naukowcy nieustannie próbują znaleźć skuteczne metody utylizacji plastików. Jak dotąd odkryto około 400 mikroorganizmów, które są w stanie rozłożyć odpady z tworzyw sztucznych. W ostatnich tygodniach opublikowano wyniki badań naukowców z Uniwersytetu w Sydney, którzy dowiedli, że dwa powszechnie występujące grzyby - *Aspergillus terreus* i *Engyodontium album* – potrafią w krótkim czasie rozkładać polipropylen używany do produkcji zakrętek do butelek, pojemników na żywność i plastikowych opakowań. Rezultaty eksperymentu przeszły najśmielsze oczekiwania - Z podanych grzybom próbek od 25% do 27% polipropylenu zostało pochłoniętych w ciągu 90 dni. Całość próbek została rozłożona po 140 dniach. To najwyższy wskaźnik degradacji odnotowany w literaturze. Co istotne, grzyby radzą sobie z różnymi formami polipropylenu, od granulek aż po arkusze polipropylenu powlekane aluminium. Należy jednak zaznaczyć, iż zanim próbki polipropylenu zostały wystawione na działanie grzybów zostały przygotowane poprzez naświetlenie promieniami UV oraz obróbkę termiczną.

Źródło: www.nature.com



II Festiwal Przyrody



FOTO: Z archiwum Autora.

Święto przyrody w zielonym sercu Lublina

ADAM LESIUK

Już ponad miesiąc minął od zakończenia II Festiwalu Przyrody, który odbył się w dniach 19-21 maja 2023 roku w Lublinie w samym sercu Lublina. Tak jak w poprzednim roku miejscem, które gościło pasjonatów przyrody była Muszla Koncertowa im. Romualda Lipki w Ogrodzie Saskim. W tym reprezentacyjnym parku miejskim znajduje się wiele cennych okazów starodrzewu oraz bytuje dużo gatunków ptaków, takich jak: kos, puszczyk zwyczajny, dzięcioł średni, zielony i białoszy. Przez dni festiwalowe słysząc było, że kosy poczuły się gospodarzem tego miejsca i uatrakcyjniły wydarzenie swoim śpiewem.

Program Festiwalu został tak dobrany, żeby i młodzi i starsi uczestnicy znaleźli aktywność, dzięki której mogli czerpać wiedzę czy przyjemność obcowania z przyrodą, którą odkrywali

razem z ekspertami przyrodniczym. Mieszkańcy miasta wzięli udział w spacerach przyrodniczych przeprowadzonych nad Zalewem Zemborzyckim, a uczniowie zgłoszonych szkół podstawowych w warsztatach przyrodniczych i filmowo-fotograficznych. Najważniejsze wydarzenia miały miejsce w sobotę i niedzielę w Ogrodzie Saskim. W ramach Festiwalu przygotowane zostały warsztaty przyrodnicze dla dzieci i młodzieży, konkursy z nagrodami, wystawy zdjęć przyrodniczych, prezentacje na stoiskach instytucji zaangażowanych w ochronę przyrody na Lubelszczyźnie. Warsztaty i konkursy były prowadzone również przez pracowników Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubelskiego, Miasta Lublin, oraz firmy KOM-EKO S.A.. Po raz pierwszy udział w Festiwalu wzięły lubelskie uczelnie reprezentowane przez Katolicki Uniwersytet Lubelski oraz

Uniwersytet Przyrodniczy, które na swoich stoiskach przyciągały uwagę wielu osób.

Bardzo ciekawą częścią programu Festiwalu były wystąpienia pasjonatów, autorów książek przyrodniczych i albumów oraz popularnych edukatorów przyrodniczych takich jak Marcin Kostrzyński (kanał na youtube – „Marcin z lasu”), który zaszarował publiczność swoimi opowieściami o przyrodzie. Podczas festiwalu o swojej współpracy z ptasimi aktorami opowiedział znany reżyser filmów przyrodniczych Artur Homan. Przyrodę zza naszej wschodniej granicy w Ukrainie przybliżył Krzysztof Wojciechowski, a Romuald Mikusek przekazał wiedzę o ptasiej deweloperce oraz pokazał ciekawe życie sów. Znany z przyrodniczych programów telewizyjnych Tomasz Kłowski opowiedział o nierzadko trudnych starciach z naturą, prowadzonych zza obiektywu aparatu fotograficznego w dolinie rzeki Biebrza.

W sobotni wieczór odbył się jedyny w swoim rodzaju koncert „Na strunach przyrody” pokazujący piękno przyrody Lubelszczyzny, który połączył wybitnych artystów fotografów oraz muzyków. Zaprezentowany został pokaz fotografii przyrodniczych w połączeniu z naturalnymi dźwiękami wybitnej muzyki filmowej Michała Lorenca w wykonaniu zespołu DesOrient. Michał Lorenc, jeden z bardziej uznanych polskich kompozytorów muzyki filmowej, znany jest z takich produkcji jak choćby „Psy”, „Bandyta”, „Wino truskawkowe”, „Przedwiośnie”, serial „Ojciec Mateusz”. Artyści z zespołu DesOrient tworzą razem od 1998 roku, nagrywają ilustracje muzyczne do wybitnych polskich filmów, skomponowane przez Michała Lorenca, bardzo chętnie sięgają też do korzeni etnicznych – muzyki bałkańskiej, żydowskiej, arabskiej, perskiej, łacińskiej, polskiej. Oprawę wizualną w tym finałowym przedstawieniu zapewniły zdjęcia wybitnych fotografików przyrody, takich jak: Grzegorz Leśniewski, Michał Lenart, Renata Bubrowiecka, Robert Lesiuk, które ukazały piękno Polesia, Roztocza i Doliny Bugu.

Organizatorem wydarzenia, które odbyło się w ramach Europejskiej Stolicy Młodzieży była Fundacja dla Przyrody, a partnerami strategicznymi Festiwalu Przyrody 2023 zostali Miasto Lublin oraz Urząd Marszałkowski Województwa Lubelskiego. Wsparcie merytoryczne zapewnił: Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska



w Lublinie, Poleski Park Narodowy, Roztoczański Park Narodowy, Zespół Lubelskich Parków Krajobrazowych. W grupie partnerów i sponsorów Festiwalu Przyrody znalazło się wiele firm m.in.: InPost Green City, Kom-Eko S.A., Green Group Sp. z o.o., Bogdanka LW SA, CEMEX Polska Sp. z o.o. Grupa Azoty, Helios Recykling, Lubelski Klub Biznesu. Dzięki takiemu dużemu wsparciu partnerów i sponsorów udział w wydarzeniu był bezpłatny.

Festiwal Przyrody od początku powstania jest przestrzenią do wymiany myśli i wiedzy, łączącą środowisko ekspertów przyrodników, miłośników natury, instytucje zajmujące się ochroną przyrody oraz organizacje pozarządowe. Mamy nadzieję, że organizacja tego wydarzenia przyczynia się również do zwiększenia wrażliwości ludzi na otaczającą nas przyrodę, której powinniśmy poświęcać więcej uwagi i działań ochronnych. Wszystkich uczestnikom Festiwalu dziękujemy za obecność, partnerom i sponsorom za wsparcie, kosom mieszkającym w Ogrodzie Saskim za piękny śpiew podczas wydarzenia. Do zobaczenia za rok, na III Festiwalu Przyrody.

Adam Lesiuk
Fundacja dla Przyrody

www.festiwalprzyrody.pl

MARCIN POLAK

Przyroda i kultura Królestwa Buthanu

Królestwo Buthanu to małe państwo położone pomiędzy Chinami i Indiami we wschodnich Himalajach. O istnieniu i dokładnej lokalizacji tego kraju na mapie świata wiedzą nieliczni i wybrani pasjonaci dalekich podróży, mistycyzmu, orientalnej przyrody i przebogatej kultury oraz kuchni Azji. Jeszcze do niedawna był to kraj zamknięty dla turystów i izolowany od świata zachodniego. We współczesnym świecie pogrążonym w pośpiechu, powszechnej konsumpcji, kryzysie klimatycznym i dynamicznym spadku bioróżnorodności ze świeczką szukać takiego kraju jak Bhutan, gdzie poszanowanie do natury, duchowość, empatia, uważność i wrażliwość na drugiego człowieka wciąż odgrywają nadrzędną rolę w społeczeństwie i relacjach międzyludzkich.

Dla przybysza z Polski, który ląduje na lotnisku w Paro, niesamowite wrażenie wywierają: lądowanie w wąskiej dolinie między szczytami

Himalajów, architektura, przepiękne dzieła sztuki oraz gościnność pracowników. Jest to najpiękniejszy tego typu obiekt na jakim byłem. W specjalnych okolicznościach (na przykład na powitanie gości na lotnisku lub podczas pobytu w świątyni buddyjskiej) mężczyźni noszą przepiękny, tradycyjny strój bhutański – gho, a kobiety – kira. Większość domów w Bhutanie budowana jest w podobnym stylu z tradycyjnych materiałów, a na elewacjach widnieją piękne malowidła smoków, bóstw, tygrysów.

Dla Europejczyków szczególnie zaskakujący i interesujący jest kult fallusa. Wizerunki penisa nie są objęte tematem tabu i są wszechobecne w przestrzeni publicznej bądź to w postaci rzeźbionej lub malowanej. Mają na celu chronić przed plotkami i pomagają przeciwdziałać bezpłodności.

W dniu 17 grudnia 1907 zgromadzenie reprezentantów mnichów buddyjskich, urzędników

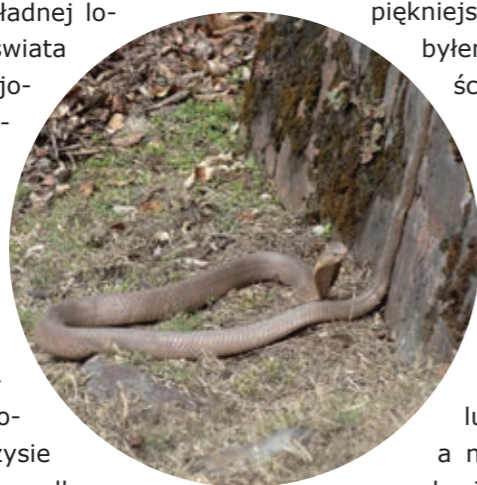


FOTO: Kobra nepalska. Z archiwum Autora.

FOTO: Klasztor buddyjski Gniasto tygrysa - najświętsze miejsce w Bhutanie Z archiwum Autora.

i ludności wybrało pierwszego dziedzicznego króla, zapoczątkowując panowanie dynastii Wangchuck. Obecnie w Bhutanie panuje piąty monarcha z tej dynastii – król Jigme Khesar Namgyel Wangchuck, którego wizerunki można spotkać w każdym zakątku tego państwa. A jest to kraj od którego w kwestii ochrony przyrody moglibyśmy czerpać wiele inspiracji. Ze względu na niemal 67% lesistość i postawienie na energię wodną Bhutan jest krajem o dodatnim bilansie emisji dwutlenku węgla. Powierzchnia obszarów objętych ochroną prawną to 10 230 km², czyli 27% powierzchni królestwa. Dla porównania w Polsce parki narodowe i rezerваты przyrody zajmują zaledwie 2% powierzchni kraju. Ciekawostką jest fakt, że w Bhutanie ze względu na niewielkie natężenie ruchu pojazdów nie istnieje drogowa sygnalizacja świetlna. W nocy jest bardzo ciemno i bardzo cicho. Problem z zanieczyszczeniem światłem i hałasem drogowym jest praktycznie niezauważalny. Ponadto wprowadzono zakaz używania woreczków foliowych. Zachowanie lesistości na minimalnym poziomie 60% powierzchni kraju jest zapisane w Konstytucji Bhutanu. W 1972 roku po raz pierwszy na świecie został wprowadzony przez ówczesnego króla Jigme Singye Wangchucka wskaźnik szczęścia narodowego brutto (ang. Gross National Happiness, GNH), który dla mieszkańców Bhutanu jest ważniejszy niż produkt narodowy brutto. Był on inspiracją do powstania w 2006 roku Światowego Indeksu Szczęścia (ang. Happy Planet Index, HPI). Jednak i w Bhutanie pojawia się coraz więcej problemów środowiskowych, zwłaszcza po tym jak kraj ten coraz bardziej otwiera się na turystów i wprowadza nowe, niekiedy udane reformy i inwestycje, które mają za zadanie stworzyć bardziej nowoczesne i bogatsze państwo.

Położenie na granicy Krainy Palearktycznej i Krainy Orientalnej, duża wilgotność związana z monsunami (miejscami do 5 000 mm rocznie), wyraźna strefowość pięter górskich, izolowane doliny, zróżnicowanie klimatu (od tropikalnego do arktycznego), mozaikowość siedlisk i topografii powoduje, że Wschodnie Himalaje są wyjątkowym obszarem (ang. hot spot) na naszej planecie z wysokim poziomem endemizmu porównywalnym ze wschodnimi Andami. Różnorodność siedlisk i organizmów w Bhutanie jest bardzo wysoka. Przykładowo w Polsce jak dotąd stwierdzono występowanie 473 gatunków ptaków. Podczas gdy w ośmiokrotnie mniejszym Bhutanie zaobserwowano 914 przedstawicieli naszych skrzydlatych przyjaciół. W południowej części Bhutanu panuje klimat tropikalny; rosną tam wiecznie zielone lasy deszczowe. Stąd wypływają dopływy wpadające do olbrzymiej rzeki Brahmaputry. Te obszary posiadają największe zróżnicowanie gatunkowe. Na wyższych wysokościach od 2 000 do 2 500 m n. p. m. położone są wilgotne lasy strefy umiarkowanej. Powyżej rosną subalpejskie lasy iglaste z dolną warstwą bambusów, a nad nimi zlokalizowane są łąki alpejskie i wieczne śniegi oraz lodowce.



Odbiór bagaży na lotnisku w Paro.





W Bhutanie występuje wiele niesamowitych i charyzmatycznych gatunków zwierząt na czele z kobrą nepalską, tygrysem azjatyckim czy pandką rudą. Mnie osobiście zachwyliły coraz rzadsze i przepięknie ubarwione kuraki taki jak: tragopan czerwony, kuropatnik, olśniak himalajski. Niestety program budowy nowych i modernizacji starych dróg powoduje niszczenie siedlisk tych gatunków. Górskie, niebezpieczne i błotniste szlaki komunikacyjne Bhutanu to temat na osobną opowieść..., ale wróćmy do ptaków. Niesamowitych doznań, zwłaszcza podczas obserwacji w locie, dostarczają dzioborożce wielkie oraz (globalnie zagrożone i endemiczne) dzioborożce rude czy olbrzymie czarno-białe zimorodki – rybaczki żałobne. Na długo pozostanie nam w pamięci nocna obserwacja niezwykle rzadkiego gębala długosternego – ptaka-dziwaka należącego do rzędu paszczakowych. W tym kraju gniazduje też jeden z najrzadszych gatunków ptaków na świecie – czapla białobrzucha. Specjaliści oceniają, że na Ziemi pozostało jedynie około 80 osobników. Według Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody (IUCN) jest to skrajnie zagrożony ptak wpisany na czerwoną listę, który posiada status krytycznie zagrożonego (ang. Critically Endangered, CR). To po afrykańskiej czapli olbrzymiej druga co wielkości czapla na świecie. Jest to skrajnie wyspecjalizowany siedliskowo i pokarmowo ptak. W przeciwieństwie do innych 62 gatunków czaplowatych, które preferują nizinne mokradła, czapla białobrzucha zasiedla sąsiedztwo potoków wysokogórskich, odżywiając się stenotopowymi rybami z rodziny łososiowatych i karpio-watych. W ostatnich latach siedliska tego gatunku są niszczone i poważnym zagrożeniem jest eksploatacja żwiru i piasku z rzek górskich. Ponadto ptak ten buduje duże i odkryte od góry gniazda w koronach drzew, które są łatwe do znalezienia przez ssaki drapieżne. Niestety wiele lęgów jest splądrowanych przez małpy – langury złociste. W celu zwiększenia sukcesu lęgowego ornitologowie monitorują lęgi za pomocą kamer i kiedy istnieje wysokie ryzyko drapieżnictwa przenoszą młode do wolier, karmią i opiekują się nimi, a następnie wypuszczają na wolność.

Wszystkich czytelników Ekogadki zapraszam do posłuchania i obejrzenia prezentacji z obrazami oraz dźwiękami zarejestrowanymi podczas naszej ornitologicznej wyprawy do Bhutanu pod następującym linkiem: <https://www.youtube.com/watch?v=eLR9eWguzQ4>

Marcin Polak

Katedra Zoologii i Ochrony Przyrody UMCS
Fundacja dla Przyrody



FOTO: Czapla białobrzucha.



FOTO: Sóweczka obrożna.



FOTO: Puchacz jarzębaty.

FOTO: Gębal długosterny.

Z bagażem swych śmieci przez życie

ADAM PRYZSTUPA

O niezwykłym ekologicznym happeningu rozmawiamy z **Davidem Loesche** mieszkańcem niemieckiego miasta Kassel, który postanowił ekologicznie uwrażliwić swych sąsiadów nosząc w tym celu na sobie wytworzone przez siebie odpady. Przyrastająca z każdym z dniem ich ilość ogranicza codzienne funkcjonowanie naszego rozmówcy, ale pokazuje skalę problemu.

Skąd twoje zainteresowanie tematem odpadów?

Fascynuje mnie sposób, w jaki nasze społeczeństwo przyzwyczało się uznawać za normalne, coś co mnie wydaje się naprawdę dziwne. W ciągu ostatnich 100 lat produkcja odpadów wzrosła o rzędy wielkości. Jako jednostki doświadczamy tylko status quo lub niewielkich zmian, więc zwykle nie zauważamy, jak przerażająca jest skala tego wzrostu. Odpady to temat, który wydaje się budzić mniej kontrowersji niż niektóre inne kwestie zrównoważonego rozwoju. Prawie każdy zgadza się, że odpady stanowią poważny problem i chciałby produkować ich mniej. Dlatego mam nadzieję, że marnotrawstwo jako temat jest bardziej odpowiednie niż inne kwestie, aby zachęcić ludzi do zaangażowania się w kwestie zrównoważonego rozwoju i odkrycia jakiejś formy własnej skuteczności w robieniu czegoś z tym problemem. Może to być zmniejszenie ilości odpadów w życiu codziennym, aktywność społeczna, ale też coś tak elementarnego jak mówienie

o tym problemie w sposób, który skupia się na szukaniu rozwiązań.

To wyraz społecznej odpowiedzialności czy też ma to związek z twoją pracą?

Ma wiele wspólnego z uczuciem konsternacji, zarówno w sensie bezradności, jak i zdumienia. Zastanawiam się nad sobą i innymi ludźmi, którzy są bardzo świadomi problemów środowiskowych naszego społeczeństwa i związanych z tym globalnych nierówności. Zastanawiam się, jak możemy przejść przez codzienne życie w sposób, który sugeruje zgodność i łatwość z „normalnością”. Zastanawiam się jak możemy przebić się przez ową „normalność” naszych wysoce zasobochłonnych i destrukcyjnych zachowań w codziennym życiu. I jest na to kilka sposobów i wielu aktywistów próbowało wielu rzeczy, ale większość z nich miało charakter „akcyjny”. Robiłeś te rzeczy od czasu do czasu, ale nie zmieniłeś radykalnie swojego codziennego życia.



Tak więc, wracając do twojego pytania, prawdopodobnie jest to również wyraz odpowiedzialności społecznej, ponieważ postrzegam siebie jako stosunkowo uprzywilejowanego i dlatego mam zdolność do tego rodzaju aktywizmu. Ale jestem również zakorzeniony w pragnieniu eksperymentowania z codziennym życiem, zmieniania perspektyw ludzi i wywołania pewnej (miejmy nadzieję, że pozytywnej) irytacji.

Jakie największe problemy dostrzegasz w gospodarce odpadami? W Polsce postrzegamy Niemcy jako kraj bardzo zaawansowany w dziedzinie selektywnej zbiórki odpadów i ich recyklingu.

Niemcy mogą być stosunkowo zaawansowane w zbiórce i recyklingu odpadów, przede wszystkim dlatego, że mają wystarczające zasoby, aby przeznaczyć je na technologię i infrastrukturę. Opracowanie i zapewnienie technologii w celu rozwiązania tych problemów nie jest złą rzeczą i z pewnością stanowi część rozwiązania, ale myślę, że bardziej zrównoważone byłoby inwestowanie większych wysiłków w ograniczanie wytwarzania odpadów. A to otwiera dyskusję o znacznie szerszym zakresie. Z mojego punktu widzenia pożądanym i koniecznym trendem byłoby zmniejszenie ogólnego zużycia, ponieważ największa ilość odpadów (a często najbardziej problematycznych strumieni odpadów) pochodzi z samych dóbr konsumpcyjnych, a nie tylko z opakowań. Ale jeśli chcemy zapobiegać kryzysom, zmniejszenie poziomu produkcji i konsumpcji wymaga gospodarki, która działa inaczej niż obecnie. To szersze zagadnienie warte nie jednej rozmowy.

Co Cię zainspirowało by ubrać się w śmieci? Czy znasz projekt amerykańskiego fotografa Gregga Segala, który fotografował ludzi na tle odpadów, które wyprodukowali w ciągu tygodnia?

Zainspirował mnie północno-amerykański aktywista Rob Greenfield. Mogę tylko polecić odwiedzenie jego strony internetowej, ponieważ ma talent do łączenia bardzo pozytywnego nastawienia z bardzo eksperymentalnym i zabawnym sposobem przedstawiania rozwiązań poważnych problemów. Zaintrygowała mnie jego



kampania 30 dni marnotrawstwa i pomyślałem też, że to zabawne.

Do kogo kierujesz swój happening? Do konsumentów wytwarzających coraz więcej odpadów czy producentów wprowadzających na rynek coraz więcej opakowań?

Mam nadzieję, że projekt zostanie dostrzeżony przez wiele różnych osób i społeczności. Oczywiście chciałbym zwrócić się szczególnie do tych, którzy ponoszą większą odpowiedzialność. W tym przypadku myślę, że rozróżnienie między producentami, konsumentami, polityką, stowarzyszeniami itp. może nie być najbardziej pomocne. Istnieje zbyt wiele współzależności, aby zrzucić odpowiedzialność na jedną z tych grup. W moich oczach odpowiedzialność za dokonanie zmiany wiąże się z możliwościami, władzą i zasobami, które ludzie posiadają, być może także ze świadomością, jaką ludzie mają na temat problemu. Jeśli jestem politykiem, mogę ponosić większą odpowiedzialność ze względu na moje stanowisko, ale mogę mieć mniejszą odpowiedzialność za dokonanie zmiany niż jakkolwiek inna osoba bez oficjalnej funkcji politycznej, jeśli ta osoba dysponuje wieloma zasobami, takimi jak pieniądze lub czas.

Każdego dnia nosiłeś na sobie coraz więcej śmieci? Jak odbierasz to doświadczenie osobiście? Próbujesz zmieniać myślenie



FOTO: Z archiwum Davida Loesche.

ludzi, ale siłą rzeczy musi to wpływać również na ciebie.

Szczerze mówiąc, nie jestem zbyt podekscytowany samym doświadczeniem, ponieważ nie było dla mnie zaskoczeniem, że w końcu będę musiał nosić ze sobą duży ciężar. Jedną rzeczą była jednak zauważalna: zwykle nie produkuję dużo odpadów w moim codziennym życiu. W ramach projektu starałem się dostosować do średniej produkcji odpadów przeciętnego człowieka w Niemczech. Nie było to tak proste, jak myślałem, ponieważ miałem również swoje stałe nawyki. Bez względu na to, czy twoje nawyki są zrównoważone, czy niezrównoważone, zawsze potrzeba energii, aby je zmienić. Dobrą wiadomością jest to, że po przejściu do mniej zasobochłonnego stylu życia niekoniecznie trudniej jest utrzymać ten styl życia niż jakkolwiek inny.

Jaki jest odbiór twoich działań przez spotykanych mieszkańców? Czy widząc cię zadają pytania?

Ludzie zadają pytania i mają wiele kreatywnych pomysłów, by określić czym tak naprawdę jest to, co widzą. Przychodzą im do głowy kombinacje przeciwdeszczowe, sprzęt medyczny, ochrona przed wypadkami... Cieszyła mnie możliwość rozmowy z ludźmi, na którą zwykle nie mam aż tak wiele okazji. Zachęcające było to, że wiele osób, z którymi rozmawiałem, było zaniepokojonych tym problemem, dalece bardziej niż bym się spodziewał.

Twój sposób komunikacji z ludźmi choć zaskakujący wydaje się bardziej przyjazny



FOTO: Próba wyjścia z toalety. Z archiwum Davida Loesche.

i mniej kontrowersyjny od radykalnych akcji ruchu „Ostatnie pokolenie” które swą formą coraz częściej budzą sprzeciw. To wydaje się bardziej skuteczne w promowaniu ekologii.

Nie mogę powiedzieć nic wiarygodnego o skuteczności, ponieważ nie mam żadnych danych na temat takich projektów. Bardzo trudno jest również ocenić sensowne środki, które wskazują na potencjalne skutki. Zachęcam jednak wszystkich do zapoznania się z literaturą na temat skutków form protestu i ruchów społecznych. Przekonasz się, że istnieje wiele rozbieżnych i częściowo sprzecznych ustaleń. Myślę jednak, że jako aktywiści powinniśmy być bardzo wrażliwi na małe dowody empiryczne, które mamy i nie powinniśmy ich lekceważyć jako wyraźnego wsparcia dla naszego szczególnego rodzaju działania. Dowody nie są tak jasne, a zwłaszcza podczas pracy metodami, które są podatne na odrzucenie przez wielu, powinniśmy uważać, aby nie trzymać się tych metod, gdy istnieją wskazówki, że przyniosą one odwrotny skutek i przyniosą efekt przeciwny do zamierzonego.

Moje przeczucie podpowiada mi, że niektóre formy dzisiejszych protestów klimatycznych prawdopodobnie nie są tym, czego potrzebujemy, aby osiągnąć postęp w kwestiach środowiskowych. Wynika to z faktu, że kwestie zrównoważonego rozwoju są typowo problemami działań zbiorowych. Oczywiście najpierw wymaga to przyciągnięcia uwagi i tu właśnie udaje się „Ostatniemu pokoleniu”, ale potrzebujemy też wsparcia i świadomości tego, o co chodzi w protestach. Cel, jakim jest wywieranie nacisku na polityków, wysuwany głównie przez aktywistów „Ostatniego pokolenia”, prawdopodobnie nie zostanie osiągnięty, jeśli ruch nie będzie dobrze postrzegany przez społeczeństwo. W końcu tak działa demokracja.

Mimo to, jak wspominałem wcześniej, podzielałem z wieloma aktywistami „Ostatniego pokolenia”. uczucie potrzeby bicia na alarm, ale też braku zrozumienia i bezradności. Mam nadzieję, że ci aktywiści są elastyczni co do swoich metod i działań i że możemy znaleźć bardziej kreatywne i różnorodne formy działania, które również pielęgnują dyskurs z wieloma ludźmi, którzy jeszcze nie zrozumieli powagi przyczyn aktywizmu środowiskowego i ich własnej potencjalnej roli i odpowiedzialności za zmiany społeczne.



REDUTA KOŚCIUSZKI

W naszych spacerach z archeologiem **dr Rafałem Niedźwiadkiem** gościśmy dziś na terenie Ogrodu Botanicznego UMCS w Lublinie, który okazuje się skrywać niejedną frapującą tajemnicę...

ADAM PRYZSTUPA

Wizyta wiosną w Ogrodzie Botanicznym wydaje się rzeczą naturalną ze względu na piękno budzącej się do życia przyrody, ale my spotykamy się tu ze zgoła innego powodu...



Sprowadziła nas tu reduta Tadeusza Kościuszki położona opodal dworku należącego przed laty do Jana Nepomucena Kościuszki, stryja przywódcy insurekcji z 1794 r. Tadeusz ponoć tu przyjeżdżał i prawdopodobnie pomagał stryjowi w projektowaniu i realizacji pierwszego założenia parkowego. Według ustaleń dr Mieczysława Kseniaka z dużym prawdopodobieństwem również reduta (a więc fortyfikacja polowa na planie czworoboku opatrzona wałami ziemnymi) na Sławinku powstała z jego rozkazu i na podstawie jego projektu wiosną 1792 r. a sam pomysł jej budowy mógł zrodzić się już dwa lata wcześniej kiedy Tadeusz Kościuszko został mianowany komendantem garnizonu Lublin i poczynił wiele starań dla poprawy obronności miasta. Trzeba pamiętać, iż kilkanaście lat wcześniej studiował w Akademii Wojskowej szwoleżerów gwardii królewskiej w Wersalu, gdzie pozyskał wiedzę o budowie fortyfikacji. Umiejętności te wykorzystał następnie w 1778 r. podczas wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych projektując system redut w West Point nad rzeką Hudson. My zjawiliśmy się tutaj, by zweryfikować, czy te zachowane do dziś wały ziemne, dość regularne i masywne zostały

zbudowane ręką ludzką, a jeśli tak, to czy faktycznie powstały w czasach kościuszkowskich, czyli u schyłku XVIII w. Reduta została usytuowana przy ważnym szlaku komunikacyjnym z Rusi przez Lublin doliną rzeki Czechówki na Warszawę, stanowiła dobry punkt obserwacyjny, ale z tego co wiadomo obiekt ten nie wziął udziału w walkach podczas wojny polsko-rosyjskiej w 1792 r. Stąd czasem powątpiewano w jej przeznaczenie militarne. Nasze badania realizowane są w ramach projektu „Reduta Tadeusza Kościuszki w obronie Konstytucji 3 Maja”, który otrzymał dofinansowanie z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w programie „Miejsca pamięci i trwałe upamiętnienia w kraju”.

Badania na terenie reduty rozpoczęliśmy jeszcze w 2022 r.

To prawda, byliśmy tu na jesiennych praktykach ze studentami pierwszego roku. Pierwszy raz trzymaliśmy łopaty w rękach, więc było to dla nich duże wydarzenie. Pomyślałem sobie jednak, że warto by było tą metodą wykopaliskową poszerzyć o coraz bardziej powszechne dzisiaj badania nieinwazyjne. Wykonaliśmy więc rozpoznanie terenu metodą LIDAR. To lotnicze skanowanie terenu przy pomocy lasera na podczerwień, którego sygnał odbity od powierzchni pozwala rejestrować wszelkie mikro różnice w ukształtowaniu terenu jako wypukłości i wklęsłości. Metodę LIDAR efektywnie wykorzystywano w Polsce



Widok na redutę i dolinę Czechówki.



Nalóżenie współczesnego podkładu geodezyjnego i mapy z końca XVIII w. J. Trettera, gdzie ukazano wały reduty, w dolnym lewym rogu – dworek Kościuszków.



Nasypy wałów reduty.

do pomiarów i modelowania zjawisk hydrologicznych tworząc cyfrowe modele dolin rzecznych, w których można symulować obniżenie lub podwyższenie lustra wody, by określić zagrożenie powodziowe. Bardzo szybko zaimplementowano tę technologię do innych dziedzin życia w tym archeologii. Nasze badanie na terenie Ogrodu Botanicznego potwierdziło regularność i kwadratowe ukształtowanie zarysów wałów ziemnych wykluczyło by mogły być one efektem procesów naturalnych. Kolejną metodą badawczą jaką zastosowaliśmy na tym stanowisku był georadar. To urządzenie, które rejestruje rozchodzenie się fal elektromagnetycznych pod powierzchnią gruntu, co pozwala na uzyskanie obrazu jego przekroju geologicznego, zarejestrowanie zmian w jego strukturze. Georadar wykazał, że w części wschodniej reduty znajduje się obiekt o sygnale zwartym, dlatego zrobiliśmy wykop by sprawdzić coż sobą prezentuje. Okazuje się być on założeniem murowanym (dość masywnie zbudowanym, o szerokich murach, głęboko posadowionych na głębokość ponad 1,80 m), które nie istniało w czasach, gdy Kościuszko sypał swoje wały. Kontekst odczytany w znajdujących artefaktach wskazuje, że musiał powstać przed połową XVII stulecia. Poprosiliśmy o pomoc dr inż. arch. Krzysztofa Janusa. Według jego oceny budynek pochodzi ze schyłku renesansu lub



początku baroku. Być może była to jedna z rezydencji szlacheckich stojących nad Czechówką. Obecność takiej budowli właśnie w tym miejscu jest zaskoczeniem. Nie ma o niej żadnych bezpośrednich wzmianek w zachowanych dokumentach, nie wiemy do kogo należała, nie wiemy z dokładnie jakiego okresu pochodzi i jaki był jej przeznaczenie. Być może tegoroczny sezon prac archeologicznych przybliży nas do odpowiedzi na te pytania.

Prace wykopaliskowe prowadziliście też w obrębie samych wałów.

Zrobiliśmy przekop, który wykazał, że wały są rzeczywiście usypane ręką ludzką, ale uwidocznili też co najmniej dwie fazy ich budowy – jedną, którą można umiejscowić w okresie staropolskim, powiedzmy schyłek I Rzeczypospolitej (w domyśle „czasy kościuszkowskie”) i drugą, młodszą, ewidentnie współczesną. Jednym z elementów rozpoznania było prospekcyjne poszukiwanie łusek i pocisków. Większość to amunicja z okresu II wojny światowej, druga grupa – licząc pod względem ilości – pochodzi z okresu I wojny światowej, wreszcie niewielka część znalezisk z czasów wcześniejszych po schyłek I Rzeczypospolitej. Takim bezpośrednim odwołaniem w znalezionych artefaktach do czasów Tadeusza Kościuszki są kęsy ołowiane, czyli fragmenty listw ołowianych, odgryzane przez żołnierzy a następnie przetapiane w tygielkach na kule. Znaleźliśmy także fragment takiego tygielka i wytopki. Dotychczasowe wyniki prac skłaniają do potwierdzenia tezy, że reduta

Nasypany wał reducy.



Masywne podwaliny budynku z XVII w. (A), przecięte przez młodsze fundamenty (B).



Przekrój przez północno-wschodni odcinek wałów.

na Sławinku jest jedynym dziełem architektury obronnej w Polsce związanej z działalnością gen. Tadeusza Kościuszki. Co ciekawe, jak wspomina w swoim opracowaniu dr Mieczysław Kseniak, tradycja kościuszkowska powróciła na Sławinek w latach 30-tych XX w. w postaci oddziału konnego „krakusów” działających pod patronatem dziedzica Sławinka a także ordynata dóbr kozłowieckich Aleksandra Zamoyskiego. W ramach Konnego Przysposobienia Wojskowego dla młodzieży lubelskich uczono tu jazdy konnej a także władania szablą i lancą zgodnie z regulaminami obowiązującymi w polskiej kawalerii. Na potwierdzenie tego faktu mamy wśród znalezisk podkowy i część rzędu końskiego.

Można więc powiedzieć, że badania archeologiczne w dużym stopniu potwierdzają naszą wiedzę wynikającą z zachowanych dokumentów. Czy oprócz odkrytych fundamentów nieznaną XVII-wieczną budowlę coś was zaskoczyło?

Największym dla nas zaskoczeniem było to, że po zdjęciu nasypu wału odsłoniła się warstwa wczesnośredniowieczna, w której wyłącznie zalegały zabytki z okresu od XI do XIII wieku. To odkrycie zaś koresponduje z cmentarzyskiem odkrytym w 2001 r. przy ul. Willowej przez Martę Polańską. Wieloletnia eksploracja tamtego stanowiska pozwoliła odkryć ponad 100 pochówków z XI – XII w. Było to tzw. cmentarzysko rzędowe, charakterystyczne dla czasu tuż po przejęciu chrztu przez księcia Polan. Zmarli chowani byli zwyczajem chrześcijańskim bez spalenia zwłok, jednakże wciąż wyposażano ich w dary grobowe.

Co ciekawe, pochówki wkopane były w pozostałości grobowców neolitycznych, z czego ówczesni żałobnicy zapewne w ogóle nie zdawali sobie sprawy. Ilość zabytków na jakie tu natrafiliśmy i synchroniczność z tym cmentarzyskiem na pewno nie są przypadkowe. Być może mamy tu część osady, które funkcjonowała równolegle z cmentarzyskiem. Co ciekawe, w warstwie z zabytkami ceramicznymi było też ponad 6 kg śladów przetwórstwa rud metali – wytopki, szlaka, być może bryły rudy darniowej. Teraz czeka na etap by rozstrzygnąć w trakcie analiz co było jakim elementem obróbki. Dwa tygodnie wykopalisk, tyle niewiadomych, tyle kuszących perspektyw, że w tym roku za namową i przy aprobacie dyrekcji Ogrodu Botanicznego wróciliśmy tu ponownie z pracami.

Jakie macie plany?

Chcemy sprawdzić wschodni bastion reducy, ponieważ wedle założeń projektowych po tej stronie powinno stać działo. Musimy więc ustalić po pierwsze czy ten teren był utwardzony, ewentualnie na jakiej głębokości i jaki sposób, oraz czy w ogóle było to miejsce predysponowane by było działobitnią. W wakacje chcielibyśmy rozpoznać przestrzeń między wykopem pierwszym, między uchwytymi śladami wczesnośredniowiecznymi a założeniem murowanym, które sięga mniej więcej po środek obecnego klombu. Uchwycenie relacji między jednym a drugim pozwoli wskazać, czy była ciągłość użytkowania tego miejsca, ale być może również określi granicę odkrytej osady, ponieważ przy tej budowlu murowanej nie widzimy śladów osadnictwa z tego okresu.

FOTO: Ze zbiorów Archee.

Być może natrafimy na obiekty mieszkalne lub produkcyjne związane z przetwórstwem rud żelaza. Gdyby tak się stało były by to najstarsze tego typu ślady na terenie dzisiejszego Lublina. Obok badań archeologicznych czekają nas również badania geomorfologiczne. Czasami można spotkać się z sugestią, że szanice reduty zostały usypane z materiału zebranego z obecnego parkingu przed wejściem do kościuszkowskiej fortyfikacji. Wydaje się jednak, że w nasypach uwięziono zbyt dużą kubaturę ziemi by była ona pozyskana tylko z tego jednego miejsca. Zastanawiające w tym względzie są otaczające nas wąwozy. Liczymy, że badania geomorfologiczne pozwolą prześledzić ewolucję rzeźby terenu i wskazanie jaki udział w jej przekształceniu miała budowa reduty Kościuszki.

Sławinek wydaje się wdzięczny miejscem pracy dla archeologa?

To dzielnica willowa, za perspektywy badań archeologicznych miejsce mało przekształcone, gdzie podczas prac uchwytne są poziomy sięgające nawet dwóch czy trzech tysięcy lat wstecz. Na północ od Ogrodu Botanicznego przy wspomnianej już ul. Willowej mamy kilka cmentarzy. Najbardziej znaną z rozpoznanych faz jest cmentarzysko megalityczne pochodzące z okresu neolitu tj. około 3 tys. lat p.n.e., gdzie odkryto podziemne pozostałości trzech grobowców o konstrukcji drewniano-kamiennej, z których każdy mierzył co najmniej 14 m długości i blisko 9 m szerokości. Grobowce te wpisują się w zwyczaję pogrzebowe społeczności nazywanej przez archeologów kulturą pucharów lejkowatych. Mamy tam też pochówki związane z kulturą ceramiki sznurowej i groby nowożytnie z XVII w. Sporo się więc na Sławinku działo i rozpoznanie strefy Ogrodu Botanicznego, gdzie mamy przychylność jego władz, stwarza możliwość otwarcia nowej furtki do opisanie historii naszego miasta i mikroregionu. Po raz kolejny przełamujemy stereotyp, w którym myśląc o Lublinie wczesnośredniowiecznym czy wczesnopiastowskim spoglądamy wyłącznie na Stare Miasto czy Śródmieście.



Wybór fragmentów ceramiki z XI-XIII w.
Widoczne są ślady palców garncarzy.

FOTO: Ze zbiorów Archee.

dr Rafał Niedźwiadek

Absolwent archeologii na UMCS w Lublinie i UR w Rzeszowie, asystent w Zakładzie Archeologii Późnego Średniowiecza i Nowożytności, Instytutu Archeologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Autor i współautor ponad 80 publikacji, w większości opisujących dzieje Lublina i Lubelszczyzny. Założyciel firmy Archee Badania i Nadzory Archeologiczne prowadzącej m.in. w latach 2001-2002 badania archeologiczne w archikatedrze lubelskiej (ponad 100 pochówków znalezionych w kryptach i najliczniejsza w Polsce kolekcja ubrań staropolskich), w latach 2003-2004 pierwsze badania archeologiczne na Lubelszczyźnie towarzyszące budowie dróg szybkiego ruchu, w latach 2007-2011 prace archeologiczne w Teatrze Starym w Lublinie, badania archeologiczne na pl. Litewskim (2016), deptaku i pl. Łokietka (2018).

Warto przeczytać

Wojciech Tomczyk

„Dramaty”, „Komedie”

Państwowy Instytut Wydawniczy



Za zgodą PIW.

Jeszcze nigdy w tym miejscu nie polecałem tekstów, które w pełni rozkwitnąć winny na scenie. A przecież dziwny to czas, kiedy idąc do teatru nie masz pewności, zali to co obejrzysz zgodne jest z zamysłem autora, czy też jest tylko swobodną interpretacją tekstu. Tekstu coraz częściej dekonstruowanego, przycinanego czy przeciwnie, przeszywanego łatami obcych strof i wersów. Warto więc sięgać do źródeł.

Wojciech Tomczyk to jeden z najwybitniejszych współczesnych polskich dramaturgów. Twórca piszący o rzeczach ważnych, kreślący teksty, wobec których nie sposób przejść obojętnie. Ci z krytyków, którzy z rozmysłem próbują je ignorować, w istocie przyznają mu rację, kiedy stwierdza „Po wielu latach trenowania podziałów nauczyliśmy się tak żyć, by nie stykać się z ludźmi, którzy myślą inaczej niż my.” Tomczyk to dramaturg wspólnoty. Pisarz, który dostrzega katastrofalne skutki jej pęknięcia i ma odwagę postawić gorzką i bolesną diagnozę „sto lat zaborów, okupacja plus pięćdziesiąt lat komuny odudczyły nas mówić do siebie szczerze o swoich poglądach. A skoro z sobą otwarcie nie rozmawiamy, to żyjemy w czarnej legendzie, widzimy drugą stronę jako ludzi oszalałych.”

Takimi widzą siebie nawzajem bohaterowie „Zaręczyn”. „Jak to możliwe, że skądinąd inteligentni ludzie mogą być aż tak zaślepieni?” „Niech biedacy dalej żyją w swoim świecie” - te zdania brzmią aż nazbyt znajomo. Powtarzamy je karmieni codziennym przekazem informacyjnym. Ba, potrafimy rzecz więcej, bo komediowa forma sztuki Tomczyka wyłagadza opis sporu. Autor nie ukrywa, iż inspirował się klasycznym amerykańskim filmem „Zgadnij, kto przyjdzie na obiad” i francuską komedią „Za jakie grzechy, dobry Boże”: „Oba te obrazy, jak wiadomo, mówią o konieczności pokonania uprzedzeń rasowych. W Polsce doszliśmy do podobnego poziomu złych emocji, uprzedzeń.” Dlatego „Zaręczyny” dotykające naszego tu i teraz, jeśli czytać je uczciwie najpierw bawią a potem drażnią, bo skłaniają, jeśli nie do zrewidowania własnych sądów, to choćby do konstatacji na jaką już u progu intrygi stać bohaterów tej błyskotliwej komedii: „są kosmitami, ale najgorsze jest to, że tacy ludzie jak oni, to samo sądzą o nas.” Z czasem to może być punkt wyjście do głębszej refleksji. Może po lekturze „Bezkrólewia”, które bawiąc się formą opisuje świat zmieniony we własną karykaturę. Świat, w którym słowa zatraciły znaczenie, w którym przestajemy wierzyć komukolwiek. Może dlatego jedna z jego bohaterek wróży sobie z liścia grochodrzewu: „wypadek... zamach... wypadek... zamach... wypadek”. Może dlatego Tadeusz z „Komedii romantycznej” tłumaczy swoje wybory mówiąc: „Generalnie to ja nie wierzę w nic. A jak już ktoś coś mówi, to nie może być prawda. Prawda to jest wartość. Jak ktoś ma coś wartościowego, to nie rozdaje tego na prawo i lewo”.

Tomczyk to orędownik wspólnoty opartej na prawdzie. Stąd takie wrażenie wywiera lektura „Norymbergi”, w której emerytowany oficer komunistycznych służb chce przywrócić porządek moralny w świecie, żądając dla siebie sądu i kary („Nie chodzi o żaden osąd moralny ani polityczny. Mnie chodzi o normalny sąd z prokuratorem, sędzią, adwokatem”). Jego decyzja to oskarżenie systemu, który pozostawił na wolności ludzi naprawdę winnych, a potrafi skazywać niewinnych (traktuje o tym dramat „Wampir” nawiązujący do sprawy „wampira z Zagłębia”). Dla wielu ta szuka jest jednym z najlepszych i przejmujących opisów natury PRL-u. Warto ją przeczytać, warto też obejrzyć jej bijącą rekordy oglądalności telewizyjną ekranizację z wybitnymi rolami Dominiki Ostalowskiej i Janusza Gajosa. Znowu historia, zapyta ktoś ze znużeniem? „Nie jesteśmy Anglią, nie jesteśmy wyspą, żyjemy w przeciagu. I nawet gdyby wszędzie na świecie ogłaszali koniec historii, tutaj historia nie kończy się nigdy” mówi Piłsudski w dramacie Tomczyka „Marszałek” i warto o tym pamiętać.



WYWIAD

MORSKIE OPOWIEŚCI

O oceanicznych rejsach, zmaganiu z przylądkiem Horn, połamanych masztach i głaskaniu wielorybów, a nade wszystko o tym, czym jest żeglarstwo rozmawiamy z mieszkającym w Lublinie jachtowym kapitanem żeglugi wielkiej Ziemowitem Barańskim

ADAM PRYZSTUPA

Panie kapitanie, okazuje się, że żeglarze niekoniecznie muszą się rodzić nad morzem...

Można powiedzieć, że urodziłem się w środku Polski, bo w Skarżysku Kamiennej. Więc rzeczywiście dosyć daleko od morza.

W jaki sposób dopadł pana jego zew?

Zaraz po wojnie, w czasach, kiedy chodziłem do szkoły dość aktywnie działała Liga Morska, która organizowała kursy żeglarskie i różnego rodzaju szkolenia. Trafiłem na nie jeszcze w liceum. Trudno wskazać jeden powód, co mnie do tego skłoniło. Może jakiś wpływ miały przeczytane książki? Na swoim pierwszym większym pływaniu byłem na Mazurach. Rejs zaczynał się w Giżycku, gdzie znajdował się ośrodek Ligi Morskiej i tam zdobyłem swój pierwszy stopień żeglarski.

Żeglowanie po Mazurach musiało się wówczas różnić od tego jak to wygląda dzisiaj...

Trudno to nawet porównać, jeżeli chodzi o infrastrukturę. W 1951 r., kiedy byłem na Mazurach na kursie na jachtach typu DZ, w zasadzie nie było tam nic. Tych łodzi było pięć czy sześć, na każdej po dziesięć osób. Trzeba było to towarzystwo podczas rejsu wyżywić a nad mazurskimi jeziorami była wtedy tylko jedna piekarnia w Giżycku. Aby się zaopatrzyć w chleb mieliśmy więc umowę z „białą żegluga”. Zabierali na pokład kilkadziesiąt bochenków w Giżycku a my odbieraliśmy je od nich w Mikołajkach czy innym umówionym miejscu. Statek na chwilę się zatrzymywał, podpływało się do burty i zabierało chleb. Takie były wtedy czasy. Przystanie żeglarskie były tylko w Węgorzewie, Giżycku, Mikołajkach i Pisz. Trzeba też wiedzieć, że jachty użytkowane w ośrodkach ówczesnej Ligi Morskiej to były jachty bezkabinowe – Dezety lub Omegi. Jeśli więc chodzi o noclegi trzeba było albo rozbić namioty, albo rozpiąć na tych łódkach jakieś tenty. Łodzi silnikowych na jeziorach praktycznie nie było w ogóle. Jeśli już to z demobilu. Jachty turystyczne zaczęto budować dopiero w późnych latach sześćdziesiątych. Także były to pionierskie czasy. Jeszcze trudniej było zorganizować rejs

zagraniczny. Pół roku wcześniej należało wystąpić o paszporty i wize. Każdy z uczestników rejsu był sprawdzany. Byli tacy, którzy ich nie dostali. Należało zorganizować zaopatrzenie w żywność, bo przydziały dewizowe były rzędu pięciu dolarów na osobę na cały rejs. Bywały więc takie historie, że miesiąc czy dwa przed wyjściem w morze zabijano świniaka i przygotowywano weki z mięsem. Można powiedzieć, że ówczesni żeglarze walczyli nie tylko o żywność,



ale i otaczającą rzeczywistością. Żeglarstwo dawało jednak szansę by gdzieś wyjechać, coś zobaczyć i to trzeba powiedzieć nie za wielkie pieniądze. Kupno biletu na samolot dla większości było wówczas czymś nieosiągalnym.

Podczas tych pierwszych mazurskich rejsów był pan w stanie przypuścić co się wydarzy dalej? Miał pan dalekosiężne plany?

Nie, oczywiście że nie. Planem było trochę popływać. Korzystałem z okazji, zrobiłem kolejny stopień żeglarski i instruktora żeglarstwa. Już jako student, a studiowałem chemię w Lublinie, jeździłem na kolejne obozy szkoleniowe. Kontynuowałem pasję rozpoczętą w szkole średniej.

A jak odbyło się przejście z żeglaza śródlądowego na morskiego?

W naturalny sposób. Najpierw zaczyna się od czegoś małego, ale potem ma się ochotę wypłynąć na większe akweny. W 1956 r. byłem pierwszy raz na morzu na jachcie STS „Generał Zaruski”, który wówczas nosił nazwę „Młoda Gwardia”. Potem były kolejne rejsy, kolejne zdobywane stopnie żeglarskie aż w 1961 r. zdałem egzamin i uzyskałem tytuł jachtowego kapitana żeglugi wielkiej.

Miał pan kapitan swojego mistrza w żeglarskim fachu?

Moje pierwsze 5 lat żeglarstwa morskiego spędziłem pod dowództwem kapitana Bolesława Kowalskiego. Można powiedzieć, że on mnie w to morskie żeglowanie wprowadził. Później, już musiałem radzić sobie sam.

To musi być trudne dowodzić grupą ludzi przebywających ze sobą czasem przez kilka miesięcy trwania rejsu?

FOTO: Żaglowiec Fryderyk Chopin pod pełnymi żaglami - rejs szkolny 2011. Z archiwum Ziemowita Barańskiego.



Gdy wszyscy przebywamy ze sobą dzień i noc w stosunkowo ciasnym miejscu mają prawo pojawić się problemy, ale jeżeli kapitan i oficerowie mają dobrze poukładane w głowie, to potrafią nad tym zapanować. Ta praca może wydawać się bardziej trudna niż jest w istocie. Może przyjść fala wysokości 10-12 metrów, gdy statek się kiwa i jest bałagan, bo nie postawisz nawet na stole talerza czy szklanki. Może przytrafić się awaria zwłaszcza np. porwie się żagiel i w takich warunkach usunąć ją jest to ciężka praca. To wszystko jednak w gruncie rzeczy zależy od tego, jak się przygotowujemy, by niczego nie przegapić, by nie być zaskoczonym. Na wszystko trzeba mieć właściwą odpowiedź i wtedy idzie to względnie gładko. A jeżeli się zaniedbuje swoje obowiązki, to mogą pojawić się kłopoty.

Na morzu większość wypadków to skutek braku czyjejś rozwagi?

Powiedziałbym nawet, że z głupoty. Miałem przypadek, że wypadł mi człowiek za burtę na oceanie. Żeglowałem wtedy ze studentami na żaglowcu STS „Fryderyk Chopin”. Na statku blisko przy burtach umieszczone są tratwy ratunkowe. Przypięte są pasem z hakiem odrzutnym z przesuwką żeby w razie potrzeby można było je łatwiej zrzucić. Na tratwach nie wolno było siadać, ale jeden ze studentów nie posłuchał zakazu. Kiedy mocno zakołysało statkiem złapał za ten hak, zwolnił go i wyleciał za burtę razem z tratwą. Tratwa ma linkę, która się wysnuwa na długości około 30 metrów. Tratwa otworzyła się więc w odległości kilkudziesięciu metrów, tak, iż

nie miał szans by do niej dopłynąć. Rzucono mu natychmiast koło ratunkowe, ale też nie mógł go osiągnąć ze względu na wiatr i falę. Na szczęście pływał nie najgorzej. Trzeba wiedzieć, że takiego żaglowca jak „Fryderyk Chopin” nie da się zatrzymać nagle w miejscu. Trzeba było zwinąć żagle, zapalić silnik i zrobić kółko. Odpłynęliśmy od niego na milę. Na szczęście nie mieliśmy dużego kłopotu, by go znaleźć. Punktem orientacyjnym była dryfująca tratwa i koło z bojką dymną więc dostrzegliśmy go z odległości 50 metrów. Miał szczęście, zrzuciliśmy ponton i wciągnęliśmy go na pokład. Dostał potem przydomek Otylia (od imienia znanej pływaczki).

Miał pan w sobie chęć budowania jachtów?

Na pewno tak, bo jeszcze w pięćdziesiątych latach wybudowałem sobie niedużą łódkę, żeby pływać na mazurskich jeziorach. Po latach zaś byłem kapitanem statku w budowie, dużego żaglowca STS „Fryderyk Chopin”. Można powiedzieć, że to moje dziecko. W życiu żeglarza to wszystko się spleta: sama żegluga, budowa, remonty i siłą rzeczy człowiek bierze w tym udział. Czasami w nieoczywistych okolicznościach. Kiedy w 1977 r. Adam Glegoła budował w Lublinie „Biegnącą po falach” wszystko jak zwykle miał w głowie. Tymczasem trzeba było jacht zarejestrować w rejonie dróg wodnych w Puławach, by móc jacht wywieźć na Mazury. Tam poproszono o informację o stateczności jachtu. Adam przybiegł więc do mnie i usłyszałem „potrzebna jest na jutro informacja o stateczności”. Mówię „ty

FOTO: Rejsy szkoleniowe na Mazurach - 1952-53.

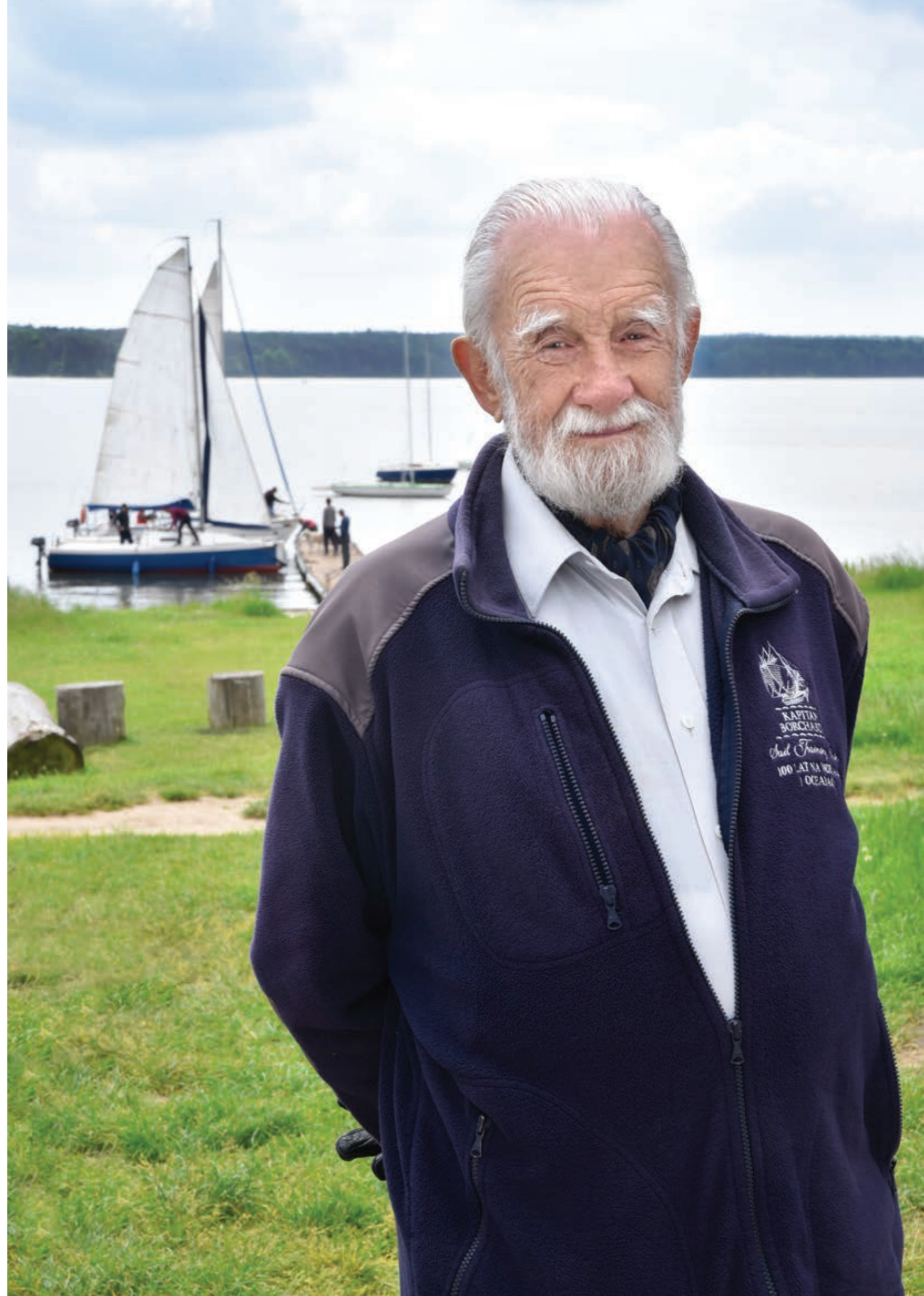


FOTO: Kapitan Ziemowit Barański nad Zalewem Zemborzyckim 2023 r. Redakcja.

chyba oszalałeś, to jest poważna robota, żeby to wszystko policzyć". Informacja o stateczności mówi przy jakich kątach przechyłu jaki jest moment prostujący, słowem jaka jest jego zdolność powrotu jachtu do pozycji początkowej po przechyle. To naprawdę duża robota, ale uprościliśmy ją sobie. Adam przyszedł z wiedzą, którą miał w głowie i jakimś rysunkami i siedzieliśmy od rana do świtu następnego dnia. O czwartej rano wiedzieliśmy już, ile ten jacht waży. By wyznaczyć środki ciężkości powycinaliśmy z tektury modele elementów, które wyważaliśmy. Musiałem jednak to opisać w dokumencie, więc napisałem, że wyznaczono środki ciężkości „metodą nożową”. Informację przyjęto, ale wielkie zainteresowanie wzbudziła ta „metoda nożowa”. Potem drżałem, że pójdę do kryminału, jeśli „Biegająca po falach” się przewróci, bo choć byłem pewien tych wyliczeń, to jednak były one przybliżone. Tak marwiłem się z rok czy dwa, aż wreszcie kiedyś pojechałem na Mazury i wypłynęliśmy „Biegająca po falach” na Mamry. Wyszliśmy z zawięzanej i przyszedł taki fest szkwał. Jacht przechylił się o około 60 stopni. Na pokładzie była cała grupa żeglarzy, większość kapitanów, ale oczywiście nikt się nie ruszył, żeby zlużować jakiejkolwiek żagle, bo kapitanowie są od dowodzenia, a nie od obsługiwania ożaglowania. Na szczęście była ze mną moja żona i ona zlużowała szot kliwra, „Biegająca po falach” wstała i wtedy pomyślałem, że chyba jednak dobrze to policzyłem.

Pamięta pan kapitan swój pierwszy sztorm?

To pewnie było na „Generale Zaruskim” ówczesnej „Młodej Gwardii”. To był rejs po wschodnim Bałtyku, Zatoce Botnickiej i gdy wracaliśmy do kraju spotkał nas dość ciężki sztorm. Ale cóż sztorm, dmucha i tyle...

Niektórzy mocno odchorowują taką sytuację

To prawda, ja miałem to szczęście, że nigdy nie chorowałem na morską chorobę. To tylko znaczy, że mam popsuty błędnik.

Wielokrotnie przekraczał pan kapitan równik?

Równik po raz pierwszy przekroczyłem będąc już dojrzałym żeglarzem na pokładzie „Pogorii” w rejsie wokół Ameryki Płd. To był czas Gorbaczowa, „otwarcia na zachód” i wyjątkowa „szkoła pod żaglami”, która w podróż zabrała załogę złożoną z polskich, amerykańskich



FOTO: Łódź wybudowana przez Ziemowita Barańskiego w 1957 roku.

i rosyjskich uczniów. Potem zdarzyło mi się to jeszcze kilka razy.

To musiał być niezwykle rejs...

Podczas rejsu kapitanem był Krzysztof Baranowski, ja zaś byłem pierwszym oficerem a równocześnie czymś w rodzaju dyrektora szkoły, w której normalnie realizowany był program nauczania. Natomiast jeżeli chodzi o stronę żeglarską to nie było jakiegoś specjalnie zaplanowanego kursu. Uczyli się rzemiosła w praktyce. Językiem obowiązującym był angielski. Integracja załogi nastąpiła dość szybko, bo postanowiliśmy, że wachty będą mieszane. Początkowo nie zgadzał się z tym opiekun Rosjan, który uważał, że najlepiej, gdyby wachty były narodowe i wtedy według niego oczywiście rosyjska byłaby najlepsza, ale gdy dopłynęliśmy do Anglii rozchorował się i został wycofany. Nowy opiekun, który przybył w jego miejsce był już normalny i nie było w związku z tym już problemów. Trzeba podkreślić, iż w szczególności nasi polscy uczniowie byli bardzo dobrze dobrani. Spośród 250 osób wybrano w ramach konkursu 20 uczestników. Odsiew był więc ogromny. Rejs poprzedziły sprawdziany fizyczne i obóz przygotowawczy, stąd byli bardzo dobrze przygotowani i w związku z tym radzili sobie nieźle.

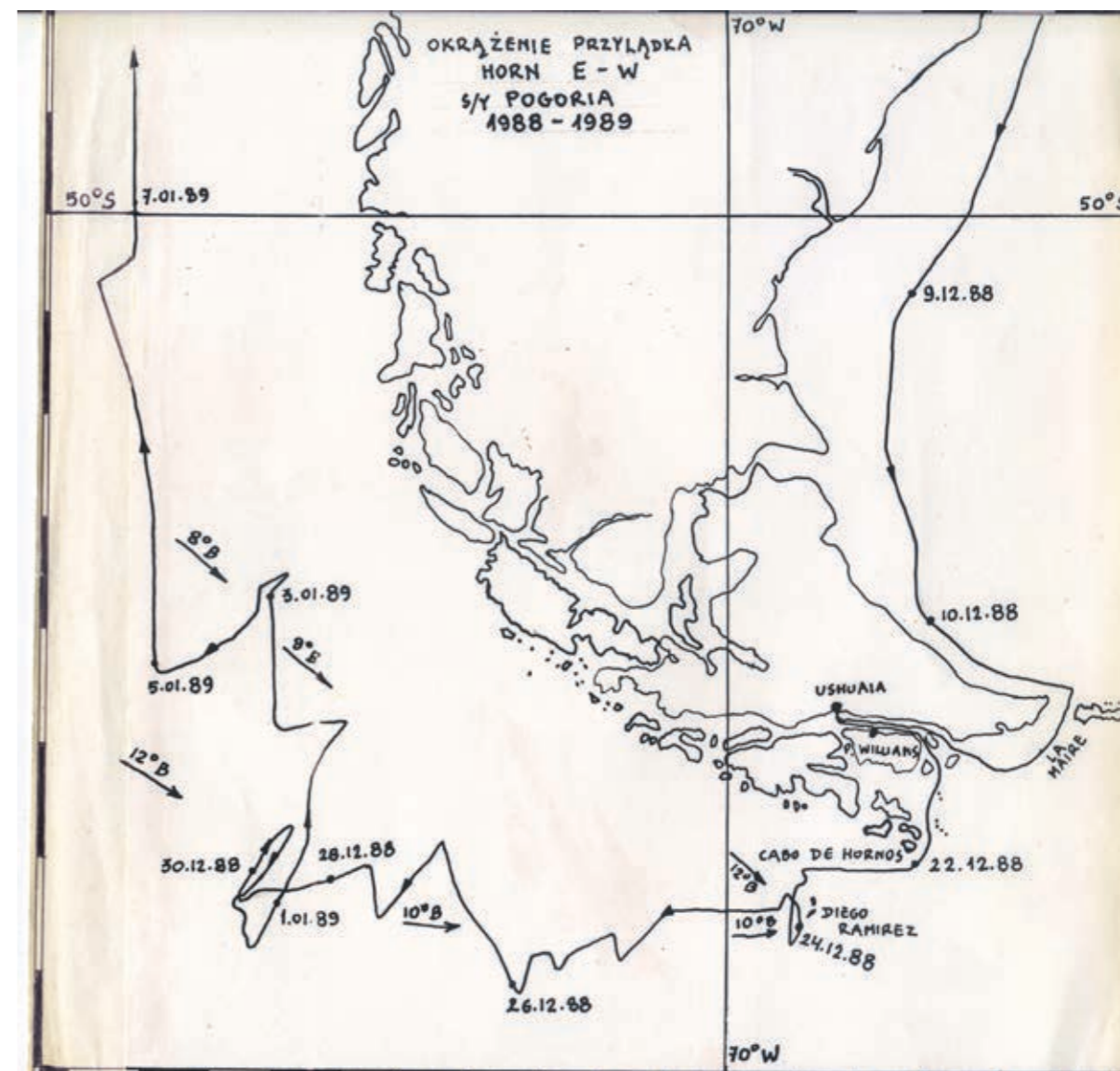


FOTO: Trasa pierwszego rejsu kapitana wokół Hornu - STS Pogoria.

W powszechnym pojęciu żeglarz nabiera mocy, kiedy opłynie Horn.

Przyłądek Horn opłynąłem dwa razy. Pierwszy raz podczas wspomnianego rejsu na „Pogorii”, drugi raz dziesięć lat później dowodząc na „Fryderyku Chopinie” również ze szkołą pod żaglami. Oczywiście przejście przez Horn jest owiane wielką legendą, która zrodziła się w epoce wielkich żaglowców. Handel z Dalekim Wschodem i Ameryką Płd. mógł się odbywać droga przez Ocenę Indyjski, ale była ona znacznie dłuższa niż przez Atlantyk. Płynano więc z Europy dookoła Hornu ze wschodu na zachód. Trudność polega na tym, że jest tam przewaga wiatrów zachodnich, a więc płynąc ze wschodu na zachód płynie się pod wiatr. Oczywiście nie cały czas, bo ten wiatr się tam zmienia, czasem bardziej północny, czasem bardziej południowy, ale na ogół przeciwny. W epoce żaglowców było to ogromnie uciążliwe do przejścia i stąd wzięta się zła sława przyłądka Horn. Warto w tym miejscu natomiast zauważyć, że pogoda równie paskudna bywa na północnym Atlantyku, czyli okolice Islandii lub Kanady. Wbrew temu co się sądzi przyłądek

Horn nie jest też aż tak bardzo wysunięty na południe. Jego szerokość geograficzna, to o ile dobrze pamiętam 56 stopni, co mnie więcej na północy odpowiada Morzu Bałtyckiemu. Wróćmy jednak do moich przejść przez Horn - na „Pogorii” mieliśmy tam ciężko. Dwa tygodnie sztormowej żeglugi, żeby się przebić. Wszystko jednak zależy od szczęścia, bo kiedy płynąłem „Fryderykiem Chopinem” to przejechaliśmy to miejsce bez najmniejszych problemów. Oczywiście mówię w tej chwili o żegludze na stosunkowo dużych statkach, na których bezpieczeństwo jest dużo większe niż na małym jachcie, dla którego taka wielka fala może stanowić problem, pomijając już siłę wiatru.

W naszej rozmowie nie może zabraknąć opowieści o tym jak w 2010 r. wyprowadził pan kapitan z poważnej opresji żaglowiec „Fryderyk Chopin”, na którym połamały się maszty.

Wydarzyło się to w sposób absolutnie niespodziewany i zresztą właściwie do dziś dnia nie wiadomo dlaczego. Wyszliśmy z Plymouth w Anglii około 300 mil w ocean. Byliśmy na południowy



FOTO: Pierwszy rejs kapitański.

wschód od Irlandii. Ponieważ wiatr tężał od wieczora więc żagle były poredukowane i w końcu nad ranem mieliśmy tylko postawiony jeden żagiel czworokątny na fokmaszcie i dwa trójkątne na bukszprycie. Mieliśmy więc takie sztormowe ożaglowanie jakie być w takich warunkach powinno. Śniadanie było o siódmej, potem poszedłem do kabiny nawigacyjnej, gdzie mieliśmy faks pogodowy, żeby zobaczyć najbliższą prognozę. W momencie jak tam szedłem nagle usłyszałem oficera, który zawołał „O Boże poszedł nam fokmaszt!” Wskoczyłem na pokład i widzę, że fokmaszt jest w dwóch miejscach złamany, ale jeszcze nie spadł, trzyma się na linach i za chwilę może runąć w dół. Natychmiast wywołałem mechanika, żeby zapalił silnik i zaczęliśmy tak sterować, żeby połamany maszt poleciał za burtę a nie na pokład. Trwało to z 10 minut. Zaraz posprawdzaliśmy czy nie ma uszkodzeń burt, ale okazało się, że wybity został tylko jeden bulaj. Ponieważ jednak zamykany jest w sztormowych warunkach specjalną klapą, akurat to uszkodzenie nie miało większego znaczenia. No i tyle.

Jest pan kapitan bardzo skromny opowiadając o tym zdarzeniu, a tymczasem trzeba zaznaczyć, że podczas rejsu załogę jachtu stanowiła młodzież.

Podczas wypadku na pokładzie w zasadzie nie było nikogo poza oficerem, sternikiem i jednym obserwatorem na mostku. Dzięki Bogu, akurat wtedy nie robiło się nic przy żaglach. Wezwałem brytyjską straż przybrzeżną by uzgodnić co można dalej zrobić. Znaleźli trawler rybacki, który podjął się, że będzie nas holował. Nie mogłem uruchomić silnika, bo pod kadłubem były liny, które mogłyby wkręcić się w śrubę i uszkodzić silnik. Po kilku godzinach pojawił się ten trawler, podany został hol i zaciągnięto nas do Falmouth.

Przyczyn wypadku jak już mówiłem, nikt nie potrafił wskazać nawet podczas rozprawy w Izbie Morskiej. Podejrzewam, że prawdopodobnie musiało to być zmęczenie materiału bukszprytu, który złamał się na spawie. Być może ten spaw nie był najlepszej jakości, choć wyglądało, że wszystko jest w porządku. Kiedy odkształcił się bukszpryt zluzowało się olinowanie i dlatego złamał się maszt.

To chwile, kiedy doświadczenie zdobyte na morzu procentuje.

Trzeba było zachować trochę zimnej krwi, ale wydaje mi się, że po prostu zrobiłem to co powinienem. Uruchomiłem silnik, żeby maszt nie poleciał na pokład a potem to wszystko pozabezpieczaliśmy i właściwie tyle było mojej załugi. Tyle że dwa razy budowałem „Chopina”. Raz, kiedy powstawał i drugi podczas naprawy po wypadku. W Falomuth siedziałem prawie pół roku. Bardzo dużo prac wykonaliśmy własnymi siłami. Stocznia musiała nam pospawać, ponaprawiać maszty, ale całe olinowanie ruchome odtworzaliśmy we własnym zakresie, żeby koszty były mniejsze.

To była najtrudniejsza decyzja do podjęcia?

Trudno tu mówić o decyzji, stało się i trzeba było reagować, żeby jakoś wyjść z tej sytuacji. Na drugi rok, gdy statek został wyremontowany popłynąłem z tą samą załogą na Morze Karaibskie. Odbiła się ta szkoła pod żaglami. Z opowiadań wiem mniej więcej, że tu w kraju był wokół tego zdarzenia wielki szum. Zastanawiano się co będzie z uczniami, chciano posyłać im pomoc psychologiczną. Natomiast jeśli chodzi o uczniów, oni martwili się tylko jednym – czy dałoby się to szybko naprawić, żeby płynąć dalej.



FOTO: Pierwszy rejs morski kapitana. Z archiwum Ziemowita Barańskiego.

Jeśli żaglowce to nie tylko rejsy, ale też złoty i regaty...

Od wielu lat międzynarodowa organizacja Towarzystwo Szkolenia pod Żaglami organizuje złoty żaglowców i ich regaty The Tall Ships Races znane jako Operacja Żagiel. Biorą w nich udział zarówno duże statki żaglowe jak i mniejsze jachty. Wielokrotnie w tej imprezie brał udział lubelski jacht s/y „Roztocze”. Natomiast pierwszym rejssem „Fryderyka Chopina” po zwodowaniu był udział w zlocie żaglowców z okazji 500-lecia odkrycia Ameryki przez Krzysztofa Kolumba. Start był w Kadyksie, potem pierwszy towarzyski etap na Wyspy Kanaryjskie. Stamtąd ruszył wyścig do Puerto Rico. Potem wszyscy przepłynęli do Nowego Jorku skąd odbył się drugi wyścig do Liverpoolu. Brałem udział w tej fazie początkowej zlotu, potem mnie zmienił Baranowski, a następnie dowodziłem na odcinku z Nowego Jorku do Liverpoolu. Odnieśliśmy sukces, bo zajęliśmy 3 miejsce. O ile dobrze pamiętam przez jedną dobę szliśmy cały czas szybkością 15 węzłów. Wyprzedziły nas tylko i wyłącznie duże wielkie żaglowce rosyjskie, które przy silnych wiatrach mogły rozwinąć duże szybkości. Miałem wtedy

na pokładzie załogę mieszaną polsko-szkocką, bo statek był częściowo wycarterowany przez Szkotów. Nie wiem jaką metodą ich rekrutowali, ale mówiąc pół żartem, podejrzewam, że część chyba wg starej metody brytyjskiej, czyli złapani w portowych barach po pijanemu i zaciągnięci na statek. Ciężko było oczywiście się z nimi dogadać, bo szkockiej wymowy języka angielskiego nie sposób zrozumieć. Gdy staliśmy w porcie przychodzili do mnie głównie po to, by zapytać się czy mogą zejść na ląd. Z góry więc wiedziałem co odpowiedzieć. Któregoś dnia, pamiętam, stałem na pokładzie i rozmawiałem z kapitanami żeglarzami z innych statków. Byli anglojęzyczni, jeden z Australii, drugi z Nowej Zelandii. Nagle podszedł jeden z tych Szkotów i coś niezrozumiale zabełkotał. Ze spokojem odpowiedziałem „OK, you can go”. Spojrzeli na mnie zdziwieni pytając „Ty zrozumiałeś co on mówił?”.

Nie było kłopotów z powrotami załogi na pokład?

Nie można powiedzieć, towarzystwo było zdyscyplinowane. Zresztą miałem brytyjskiego pierwszego oficera w stopniu komandora, weterana wojny o Falklandy, który wcześniej

przeszedł na emeryturę i pływał na żaglowcach. Frank Scott trzymał rygor typowy dla brytyjskiej marynarki więc miałem spokojną głowę.

Czytałem, że pan kapitan potrafił być bardzo wyrozumiały dla załogi, nawet po niej sprzątać...

W 1974 r. „Roztocze” odbyło dość daleki rejs na Morze Czarne. Dowodziłem wtedy jachtem podczas powrotu do kraju. By zrozumieć tę opowieść trzeba zważyć w jakich działło się to czasach. Przydział dewiz, oszczędzaliśmy na opłaty portowe, więc wszyscy zabierali ze sobą zapasy z Polski, w tym m.in. papierosy. Palacze to bałaganiarze, więc kiedy na początku rejsu mieli ich dużo, wszędzie leżały porzucone nie do końca opróżnione paczki. Chowałem te bezpiecznie opakowania do szuflady. Potem zaczęła się bida, bo papierosy się skończyły. Ktoś tam chyba jednak podpatrzył, że w szufladzie mam papierosy więc wystosowano do mnie petycję czy łaskawie bym ich im nie wydał. To był dosyć ciekawy rejs, bo kawał drogi, ale ciężki właśnie ze względu na brak pieniędzy. Przeloty między portami były bardzo długie i niemal cały czas pod żaglami, bo nie mieliśmy za co kupić paliwa.

Porty to miejsca, gdzie rodzą się morskie opowieści...

W części polskich portów nie ma osobnych marin. Jachty stoją wzdłuż nabrzeża, które jest często jednocześnie deptakiem, jak np. w Ustce. Warto wtedy posłuchać co mówią turyści, zwłaszcza gdy przychodzą z dziećmi. Podczas postoju „Roztocza” ich uwagę przyciągały lśniące, wykonane z brązu kabestany służące do wybierania lin. Pewnego razu usłyszeliśmy jak mama pytana przez dziecko odpowiada „To chyba są latarnie morskie, bo tak się świecą”. Innym razem na brzegu stała jakaś grupka ludzi i oglądała jacht. W pewnym momencie ktoś zszedł do kabiny nawigacyjnej i zasunął klapę. Słychać komentarz „Widzisz, oni tu w razie czego to wszystko zamykają i idą w zanurzenie, żeby się chronić przed falami.” Więc oczywiście załoga to natychmiast podchwytuje i słyszę, jak ktoś potwierdza „Tak, tak maszty są w środku puste i dostarczają powietrze”. Na „Roztoczu” w dawnych czasach dwóch naszych kolegów kupiło duży zeszyt i napisali na nim tak „To jest dziennik prawdziwy, w którym każdy może napisać co sądzi o kaptanie, gdzie ma taki rejs i kim właściwie są jego koledzy”. Potem oczywiście w tym zeszycie były

odmalowywane różne historie, wierszyki, rysunki i to się zachowało. Tam między innym odnotowano te lądowe rozmowy.

Równie zabawne historie musiały się rozgrywać w kontaktach z innymi nacjami, na styku różnych mentalności czy zwyczajów?

Pamiętam pewien rejs, w którym dotarliśmy do małego portu na zachodnim wybrzeżu Szwecji. Był to czas, kiedy Polacy podczas takich rejsów handlowali wódką, bo ta była tam bardzo droga. Wszyscy o tym wiedzieli, więc szwedzcy celnicy skrupulatnie sprawdzali każdy przyplwający jacht i często byli przy tym nieprzyjemni. Po wejściu do portu zgodnie z przepisami powiadomiłem o naszym przybyciu kapitanat. Usłyszałem, że mamy czekać na celników, którzy przyplwną motorówką z sąsiedniego portu odległego o 20 mil. Rzeczywiście, przyplwnęła motorówka, celnicy weszli na pokład i pytają co ze sobą mamy. Odpowiedzieliśmy, że pięć litrów wódki, czyli dziesięć butelek. Usłyszeliśmy, że to za dużo i trzeba je zamknąć pod kluczem. Pytanie tylko gdzie? Szafki odpowiedniej do tego nie było, w końcu krakowskim targiem zgodzili się, że zapakujemy to do żeglarskiego worka, który zaplombują. Oczywiście zapytali, czy chcemy sobie zostawić jedną czy dwie butelki. Mówię, jedna butelka nam wystarczy, wypijemy wieczorem po kieliszku. Zaplombowali worek a ja sobie myślę, zobaczymy co tu dalej zrobimy z tą historią. Pytam się więc „Będziemy tu stali ze trzy dni, jakbyśmy jeszcze chcieli jakąś butelkę wyjąć z tego worka, to co mamy zrobić?” Odpowiedzieli „Musicie do nas zatelefonować to się zjawimy”. Na drugi dzień dzwonię, że chcielibyśmy, by przyplwnęli. Zjawili się, ale znowu musieli przebyć w obie strony 40 mil. Tym razem z worka wyjęliśmy dwie butelki. Coś przeczuwali, bo pytali, czy nie chcemy wyjąć więcej, ale pozostaliśmy przy dwóch. Kiedy zadzwoniłem trzeciego dnia kazali już samemu złamać plomby i nie zawracać im więcej głowy.

W jakie miejsca najbardziej lubił pan kapitan pływać?

Jeśli miałbym wskazać miejsca, do których chętnie wracałem ze względu na ich urodę, to na świecie są trzy miejsca które uważam za najpiękniejsze miejsca, gdzie można oglądać góry i morze. To wybrzeże Norwegii, Chile i Kanada od strony Pacyfiku. Okolice bardzo podobne pod względem krajobrazu i rzeczywiście wspinała

przyroda. Z drugiej strony, jeśli rozpatrywać to z punktu widzenia pogody to takim miejscem jest Morze Karaibskie. Ciepło, stały wiatr, ale krajobrazowo mniej ciekawie – trochę palm i piasek. Jak dla mnie takie to trochę przesłodzone. Pięknych miejsc na świecie jest bardzo dużo. Nie trzeba daleko szukać. Kiedy Bałtykiem popłyniemy na północ natrafimy na Wyspy Alandzkie tworzące pomost między Finlandią a Szwecją. Bardzo piękny akwen.

Przyroda to też zwierzęta morskie, które na pewno przychodziło podczas rejsu panu spotykać...

Najpotężniejsze z nich to wieloryby. W pobliżu Buenos Aires w Argentynie jest taka zatoka Golfo Nuevo. Okrągła zatoka wielkości Zatoki Gdańskiej z małym wąskim wejściem. Tam z jakich powodów przyplwają co roku, głównie jesienią, wieloryby. Matki z małymi, które tworzą coś co można nazwać wielorybim przedszkolem. To mała zatoka, więc kiedy przyplwnie tam kilkadziesiąt wielorybów, to robi wrażenie. Miejscowi wynajmują łódki, więc można podplwnąć i „poklepać” wieloryba po plecach. One tym specjalnie się nie przejmują.

Przemierzał pan morza i oceany, ale lubi pan wracać do Lublina?

Spędziłem tu właściwie większość życia. Tu mam rodzinę, znajomych. Siłą rzeczy więc tak. To moje miasto, nie licząc morza spędziłem w nim chyba największą część swego życia.

Co w tym żeglarstwie pana tak pociąga?

Trudno powiedzieć. To trochę taki sposób na życie. Można powiedzieć, że znamieny w tym względzie jest tytuł mojej ostatniej książki „Jak raz się zacznie”. Jak się raz zacznie, to ciężko jest już potem skończyć. To po prostu wciąga. Zaczyna się od małych rzeczy a później ma się ochotę, żeby zrobić coś więcej. Żeglarstwo to jest rodzaj rzemiosła, które wzięło się z zawodowej żeglugi, która woziła towary, prowadziła wojny, aż została wyparta przez statki parowe czy motorowe. Nade wszystko to satysfakcja, że przy pomocy stosunkowo prostych środków – trochę płótna i lin – daje się pływać po całym świecie. A dlaczego się pływa po ocenie? Bo jest ocean.

Dziękujemy za rozmowę.

Ja również dziękuję.



Ziemowit Barański

Urodzony 15 listopada 1934 w Skarżysku-Kamiennej, od lat związany z Lublinem. Absolwent Wydziału Chemii UMCS, wieloletni nauczyciel i wicedyrektor Technikum Mechaniczno-Energetycznego w Lublinie. Jachtowy kapitan żeglugi wielkiej, nestor polskiego i lubelskiego żeglarstwa, instruktor i wychowawca wielu pokoleń żeglarzy. Wieloletni kapitan żaglowców s/y Roztocze, STS Fryderyk Chopin, STS Zawisza Czarny, STS Pogoria, SY Kapitan Borchardt. Wieloletni prezes Lubelskiego Okręgowego Związku Żeglarskiego. Za największe osiągnięcia uważa udział w budowie jachtów „Roztocze” i „Fryderyk Chopin” oraz rejsy „Szkoły pod żaglami” na „Pogorii” i „Fryderyku Chopinie”. Laureat Nagrody im. Kapitana Leszka Wiktorowicza (2022). Autor książek: „S/y Roztocze – 50 lat na morzach i oceanach”, „Jak się raz zacznie...”.



Tam gdzie
nauka łączy się
ze sztuką

O zapisanej w mapach ludzkiej potrzebie opisywania świata, sekretach kartografów i starych mapach Lubelszczyzny rozmawiamy z **dr Mirosławem Krukowskim**, adiunktem w Katedrze Geomatyki i Kartografii UMCS

Skąd się wzięły mapy?

Mapy wzięły się z ciekawości, z potrzeby poznania i z dokumentowania swojej wiedzy o świecie. Pierwotnie miały funkcję poznawczą, służyły do przekazywania wiedzy albo żeby nawigować. Często mapa służyły też potrzebom własnym, po to żeby lepiej zrozumieć pewne sprawy rozrysowując przestrzeń. Dziś mapa jest też bazą danych, czyli jest w niej zapisany stan przestrzeni, środowiska, tak by można było to odtwarzać i świadomie podejmować decyzje.

To odwzorowanie przestrzeni na początku było bardzo umowne...

Oczywiście, w przypadku dawnych map na tabliczkach glinianych wystarczało parę znaków, by pokazać tzw. topologię, czyli co jest z lewej, co jest z prawej strony. To nie powinno nas dziwić, jeśli uświadomimy sobie, że w codziennej nawigacji, kiedy poruszając się po ulicach nie posługujemy się odległościami. Mówimy daleko, blisko, natomiast nie posługujemy się metrami, kilometrami, choć potrafimy to ocenić. Wszystko jest kontekstowe, środowiskowe, bo to co dla nas znajduje się daleko np. dla Eskimosów żyjących na rozległych przestrzeniach będzie oznaczało blisko. Tak więc poruszając się orientujemy w przestrzeni w oparciu o jej elementy. Chcąc skonfrontować to co rejestrujemy wzrokiem sięgamy po mapy ogólnogeograficzne, topograficzne pokazujące stan zagospodarowania terenu. Mamy jednak też całą grupę map, które mapują idee, abstrakcję. Taką abstrakcją jest np. gęstość zaludnienia, stąd mamy mapy pokazujące gęstość zaludnienia. Możemy też stworzyć



np. mapę państw demokratycznych. Co to jest państwo demokratyczne? To jest pewna idea, koncept, ale przypisując jakiś atrybut do miejsc potrafimy to pokazać. To ważne, bo mapy oprócz funkcji decyzyjnych, badawczych czy wojskowych mają też pewne znaczenie społeczne i kulturowe.

Kto tworzył pierwsze mapy?

Początkowo byli to kacykowie, szamani, kapłani, osoby, które miały jakąś przewagę intelektualną nad innymi. Kartografowie, czyli specjaliści od tworzenia map zaczęli pojawiać się w cywilizacji starożytnej Grecji. Potem tę umiejętność możemy przypisać podróżnikom. Pamiętajmy, że jedną ze specjalności Krzysztofa Kolumba była właśnie kartografia. Tacy ludzie jak on poznawali ten świat, odkrywali nowe lądy, sprawdzali, czy to co przekazali im inni, co zapisano na starych mapach jest prawdą. Bo też wczesne mapy często tworzone w oparciu o przekazy ustne podróżujących, najczęściej kupców. Opierano się na ich pamięci i postrzeganiu przestrzeni. Stąd na mapach sprzed epoki oświecenia, sprzed rewolucji przemysłowej, nim zaczęto prowadzić pomiary, jest dużo błędów. Często błędów powielanych przez dziesiątki a czasem setki lat, dopóki ktoś w dane miejsce nie pojechał i ewidentnie wszystkiego nie sprawdził.

Dawne mapy, choć może niedokładne, do dziś zachwycają swą formą.

To prawda, są wśród nas miłośnicy map ze względu na ich piękno, bo mówi się, że kartografia, zwłaszcza ta papierowa, była połączeniem nauki ze sztuką. Często to, co nie zostało pomierzone na mapie było dopowiedziane językiem



FOTO: Wacław Grodecki, Mapa Poliski, Litwy, Prus, Mazowsza..., 1570.

sztuki. Stąd do dziś fascynuje nas forma kartuszy, czyli ozdobne obramowanie tarczy czy tablicy, wewnątrz której umieszczano najważniejsze informacje opisowe dotyczące mapy, czasem emblemat lub tarczę herbową. Kartusz towarzyszył mapie od XVI w. aż do początków XIX w. Oryginalne i bardzo charakterystyczne kartusze posiada już większość map epoki renesansu, lecz najbardziej bujny rozkwit sztuki zdobniczej przynosi barok. Ich bogata ornamentyka zawierała motywy roślinne, zwierzęce, mitologiczne, militarne, herbowe czy alegoryczne. Oprócz kartuszy na starych mapach mogą nas np. zaintrygować umieszczane na morzach wizerunki nieznanymi stworzeń. Zadajemy sobie pytania, czy oznaczały coś konkretnego, czy były tylko ozdobą, a może mówiły, że w tej części świata czeka nas coś nieznanego, strasznego?

Twórca mapy serwuje nam pewną opowieść, swój ogląd spraw, których te mapy dotyczą?

Wbrew temu co można by sądzić, mapy niekoniecznie muszą być obiektywne. Są wytworem jakiejś kultury, ale ta kultura to przede wszystkim władza, która kreuje opisywaną przestrzeń, władza, która zleca wykonanie mapy. Najdobitniej widać to w przypadku władzy kolonialnej. Jeśli coś zostało narysowane na mapie było powszechnie uznawane, stawało się faktem. Kto tworzył mapę, tworzył terytorium, kreślił przestrzeń i władał tą przestrzenią.

Kreślenie map zlecał przed laty ten kto miał władzę, ale też pieniądze.

Tworzenie mapy było czasochłonne i pracochłonne. To oczywiście kosztowało, należało opłacić kartografa. Stać na to było królów czy magnatów. Dziś rewolucja informatyczna sprawiła, że swoją mapę może zrobić każdy a kartografowie, w starym znaczeniu tego słowa, odchodzą do historii. Ja jestem jeszcze kartografem czasu internetowego przełomu. Na studiach przygotowywałem jeszcze mapy na papierze przy użyciu kolorowych kredek, farb, rapidografów, ale już naciskaliśmy na prowadzących zajęcia by korzystać z możliwości jakie daje komputer. Dziś, jak już powiedziałem, każdy może być twórcą mapy, bo w sieci istnieją projekty, które to umożliwiają. Tworzona jest pewna struktura, do której możemy się dopisać nanosząc obiekty znajdujące się w naszym otoczeniu. To tzw. kartografia społecznościowa albo neokartografia. Przykładem może być projekt OpenStreetMap, którego celem jest społecznościowe stworzenie darmowej mapy całej kuli ziemskiej. Jest to na tyle dobry ogólnodostępny portal, tworzone w nim mapy są na tyle dokładne, że są wykorzystywane nawet przez jednostki samorządowe. Wadą tego przedsięwzięcia jest to, że jeśli na jakimś terenie nie ma wykształconej społeczności o pewnej kulturze technologicznej i dostępie do internetu, to pewne obszary mogą być słabiej skartowane. Musimy się więc liczyć z niejednorodnością



FOTO: Robert de Vaugondy, Królestwo Polskie 1752.

pokrycia informacją tej społecznościowej mapy. Korzystając z OpenStreetMap powinniśmy też pamiętać o tym, że w różnych częściach świata mamy do czynienia z różną percepcją rzeczywistości. Droga oznaczona na mapie jako główna, w Polsce będzie drogą asfaltową, natomiast w Afryce czy Ameryce Płd. tym mianem określa się często drogi gruntowe. Jeżeli o tym zapomnimy, możemy się mocno rozczarować a może nawet urwać koło w samochodzie.

Wróćmy jednak do czasów, gdy kartografia była wiedzą tajemną. Jak wówczas kreślono mapy?

Jak już mówiłem, w najdawniejszych czasach podczas tworzenia mapy korzystano z przekazów różnych osób. Zebrać te informacje nie było łatwo, więc trwało to latami. Trzeba powiedzieć, że kartografia była zajęciem elitarnym, dobrze opłacanym przez władców czy możnych, którzy zamierzali pozyskiwać pewne dobra z terenów opisywanych na mapach. Najbardziej dokładne były zapewne mapy przedstawiające zarysy lądów kreślone w oparciu o zapisy żeglarzy (tzw. portolany), którzy potrafili określić swoje położenia przy pomocy obserwacji Gwiazdy Polarnej i potrafili wykorzystać kompas. Każdego dnia podróży mogli korygować swoje położenie i nanosić na mapę punktu znajdujące się w zasięgu ich wzroku. Prawdziwy przełom w kartografii przyniósł dopiero wiek XVIII i rewolucja przemysłowa. Jeszcze w latach siedemdziesiątych

XVII wieku włoski astronom Giovanni Domenico Cassini, po objęciu stanowiska dyrektora obserwatorium astronomicznego w Paryżu, rozpoczął pracę nad projektem mapy topograficznej Francji. Przedsięwzięcie postanowił oprzeć na triangulacji, czyli metodzie pomiarów terenowych polegającej na pokryciu mierzonego obszaru siecią trójkątów. Opracowanie mapy trwało ponad 40 lat a pracowali przy tym cztery pokolenia rodziny Cassinich. Do dziś mówimy o tej mapie jako o pierwszej nowoczesnej mapie topograficznej. Dała ona początek pomiarom całej Europy, od Francji, przez Anglię, po Prusy i Rosję. Impulsem do tych prac było przede wszystkim militarne wykorzystanie map. W czasach podbojów Napoleona za jego oddziałami podążały zespoły kartografów. W XIX stuleciu swoje kolonie obmierzają Brytyjczycy, ale to również czas pomiarów na ziemiach polskich zajętych przez zaborców. Oczywiście specyfika pomiarów w każdym z tych krajów była różna, bo każde robiło je na własny użytek. Dziś wszyscy orientujemy się wobec standardowego południka zerowego (początkowego), wówczas jedni za „zerowy” uznawali południk wyspy Ferro w archipelagu Wysp Kanaryjskich, inni południk przebiegający przez carskiego obserwatorium w Pułkowie pod Sankt Petersburgiem. Do dziś w Warszawie na Placu Teatralnym zachował się bazowy punkt triangulacyjny leżący na tzw. południku warszawskim.



FOTO: Topograficzna karta Królestwa Polskiego 1843.

Mimo tych różnic możemy jednak uznać, że w owym czasie twórcy map poradzi-li sobie z pomiarem odległości. A jak było z wysokością?

Często mówi się, że określenie wysokości i przedstawienie jej na mapie było jedną z rąf kartografii. Początkowo góry oznaczano jedynie za pomocą symboli metodą kopczykową. Rysunki w ujęciu perspektywicznym pokazywały przybliżone położenie wzniesień, natomiast nie oddawały ich wysokości. Stosowaną od starożytności metodę zarzucono na początku XIX wieku. Wtedy to saski kartograf Johann Lehmann zaproponował, by aby rzeźbę terenu przedstawiać zależnie od nachylenia stoku za pomocą czarnych mniej lub bardziej zagęszczonych kresek. Przyjął zasadę, że przy pionowo padających na ziemię promieniach światła, powierzchnie bardziej strome, o większym kącie nachylenia są bardziej zacienione. Stąd w takich punktach na mapie zagęszczenie kresek było większe. Dopiero w XX wieku na mapach pojawiły się poziomice, czyli linie izometryczne łączące punkty o tej samej wysokości. I tu dochodzimy do kolejnego problemu, od jakiego punktu mierzymy wysokość. Przyjęło się, iż punktem wyjścia jest poziom morza określony przez przyrząd pomiarowy zwany mareografem. Dla Polski układem odniesienia jest pomiar mareografu w Kronsztadzie koło Sankt Petersburga. Stamtąd prowadzony jest ciąg pomiarów tzw. ciąg niwelacyjny, który pokrywa cały teren Polski. Inne kraje bazowały na pomiarach mareografów zlokalizowanych

w innych miejscach świata, stąd na zbiegu różnych jurysdykcji państwowych mogliśmy spotkać się z różnicami pomiarów wysokości. To logiczne, bo dziś wiemy, że np. średni poziom morza na Bałtyku jest inny niż na Morzu Śródziemnym.

Stare przysłowie powiada, iż „bliższa koszula ciału”. Porozmawiajmy o mapach Lubelszczyzny. Kiedy nasz region pojawił się na mapach?

Najstarsze znane dziś przedstawienie Lubelszczyzny, to pochodząca z 1507 r. mapa autorstwa Marka z Benewentu przedstawiająca Europę Środkową. Odnajdziemy na niej m.in. Lublin, Krasnystaw, Urzędów czy Hrubieszów, ale również wiele błędów np. na wschód od Lublina umieszczono nieistniejący Las Hercyński zaczerpnięty z przekazów starożytnego astronoma i geografę Ptolemeusza. Przy opracowaniu tej mapy z Markiem z Benewentu współpracował Polak Bernard Wapowski sekretarz króla Zygmunta Starego, nazywany czasem ojcem polskiej kartografii. Tu ciekawostka, na mapie znalazły się dwie niewiele nam mówiące nazwy miejscowości Wapowicze i Radochońce. Pierwsze to miejsce urodzenia polskiego geografę, druga siedziba jego rodu. To taka słabostka kartografów. Umieszczając na mapie miejsca darzone przez siebie sentymentem, oznaczali swoje dzieło.

Chronologicznie kolejna mapa...

... to pół wieku starsza mapa autorstwa Wacława Grodeckiego, która przedstawia ziemie XVI wiecznej Rzeczypospolitej rozciągające

się od Morza Bałtyckiego aż po Morze Czarne. Mamy na niej zaznaczonych więcej miejscowości. Znajdziemy to m.in. Lublin, Kraśnik, Łęczną, Parczew, Urzędów, Kurów. Widać, że twórca mapy korzystał z wiedzy zawartej na mapie Marka z Benewentu i Wapowskiego. Jest to pięknie ręcznie kolorowany miedzioryt. Warto zauważyć, iż miasta nie są tu oznaczone jako punkty, ale ikonami miast. I nie są to ikony przypadkowe – jeśli przyjrzymy się bliżej, w przypadku Lublina dostrzeżemy elementy ówczesnej panoramy miasta.

W XVIII stuleciu pojawia się mapa, na której Lubelszczyzna przedstawiona jest z dużą szczegółowością...

To mapa obejmująca województwa lubelskie, rawskie, Mazowsze i Podlasie. Stworzył ją na zamówienie wojewody nowogrodzkiego, księcia Józefa Jabłonowskiego włoski kartograf Giovanni Rizzi-Zannoni w 1772 r. Mapa należy to kompletu 24 arkuszy znanych jako „Carte de la Pologne...” i rzeczywiście jest najdokładniejszą mapą Polski powstałą w okresie przedrozbiorowym i pierwszą w tak dużej skali mapą Rzeczypospolitej. Odnajdziemy na niej nie tylko miasta, ale i wioski. Nie jest to jednak jeszcze mapa topograficzna oparta na pomiarach w terenie, a takie stworzono już w tym czasie na zachodzie Europy.

Kolejne mapy ziem polskich, w tym naszego regionu to mapy z okresu zaborów...

Ponieważ Lubelszczyzna znalazł się początkowo w zaborze austriackim odnajdziemy ją na wojskowych mapach imperium Habsburgów sporządzonych w ramach projektu tzw. zdjęcia józefińskiego. Armia austriacka po doświadczeniach wojny siedmioletniej zdecydowała, że potrzebne są jej znacznie dokładniejsze niż dotąd mapy terenowe. Zdecydowano więc o przygotowaniu mapy obejmującej wszystkie ziemie rządzone przez Habsburgów. W ramach tych prac powstała mapa Królestwa Galicji i Lodomerii przygotowana przez Friedricha von Miega. To pierwsza taka dokładna mapa w skali 1:28 800, dla porównania mapa Rizzi-Zannoniego została sporządzona w skali 1:692 000. Dziś korzystamy z jeszcze dokładniejszych map, ale na tamte czasy to był przełom. By mogła powstać, zarówno Mieg jak i jego następca Anton Mayer von Heldensfeld, który w 1804 r. wykonał mapę Galicji Zachodniej, przemierzali te tereny i robili pomiary. Ponieważ były to mapy dla potrzeb

wojsk, na swoich obrzeżach miały metryczki zawierające informacje przydatne w związku z poborem do wojska, np. ile na danym obszarze jest mężczyzn, koni, wozów itp. Po upadku Napoleona i Kongresie Wiedeńskim Lublin znalazł się w zaborze rosyjskim. Z tego okresu dysponujemy topograficzną mapą kwatermistrzowską Królestwa Polskiego przygotowaną przez polskich kartografów wojskowych. Większość jej arkuszy opracowano przed wybuchem Powstania Listopadowego. Po upadku powstania Rosjanie przejęli wynik polskich prac i korzystali z nich powielając aż do I wojny światowej. To świadczy, jak dobra była to mapa. Jak dobrą pracę wykonali polscy kartografowie.

Polscy kartografowie swoją klasę udowodnili również po odzyskaniu niepodległości...

W 1919 r. powołano Wojskowy Instytut Geograficzny, którego zadaniem było kartograficzne scalenie obszarów Rzeczypospolitej funkcjonujących przez ostatnie 123 lata w rzeczywistościach trzech różnych krajów. Należało uzgodnić 9 różnych układów triangulacyjnych z ośmioma różnymi punktami początkowymi i trzema różnymi poziomami morza. Kolejnym krokiem było opracowanie mapy taktycznej Polski w skali 1:100 000 i map szczegółowej w skali 1:25 000. Mapy „wigowskie” były uważane za jedne z najlepszych na świecie.

Nasza rozmowa zmierza do końca, ale musimy zadać pytanie, od którego być może powinienem rozpocząć - lubisz oglądać mapy?

Moje zainteresowanie geografią zaczęło się od oglądania map, od pytań co przedstawiają, jak powstały. Dziś mogę powiedzieć, iż widziałem już pewnie każdy rodzaj mapy, jeśli chodzi o konwencję czy metodę przygotowania. Doceniam możliwości jakie daje nam współczesna technologia, ale rozumiem też zapach starej mapy i potrafię docenić trud, który towarzyszył jej przygotowaniu, a często był on niebotyczny. Jeden z moich profesorów mawiał, że kartografii nie robi się głową, tylko „czterema literami”. Trzeba swoje wysiedzieć by wszystko posprawdzać, ponanosić wszystkie elementy. Warto o tym wiedzieć i pamiętać, zachwycając się pięknem starych map i korzystając z nowych. Do czego gorąco zachęcam.

Z lekka bita fałszem

Niosąc kaganek odpadowej oświaty zwykłym przykładać dużą wagę do uświadamiania moim słuchaczom, iż każdy z nas jest wytwórcą odpadów, bo też każdy z nas co dnia podejmuje decyzję, by się pozbyć tej czy innej rzeczy uznawszy ją za nieprzydatną. Nabieramy w tym coraz większej wprawy o czym świadczy rosnąca z roku na rok ilość gromadzonych w workach czy pojemnikach odpadów, choć jak chcą statystyki, jeśli przeliczyć je na ilość mieszkańców, zaniżamy na szczęście europejską średnią. Opowiadam więc o tym wszystkim podkreślając, iż pierwszym w hierarchii, a zarazem najprostszym, sposobem postępowania z odpadami jest zapobieganie ich powstawaniu. Snuję więc opowieść o przemyślanych zakupach, o świadomym rozeznaniu tego co jest nam potrzebne a bez czego możemy się obejść, bo beztrudnie poddawanie się nawykowi zwieść nas może na manowce.

Bezrefleksyjne zapełnianie worków ze śmieciami może okazać się źródłem poważnych kłopotów, o czym przekonał się mieszkaniec Aten, stolicy hrabstwa Limestone w amerykańskim stanie Alabama. 30 października 2019 r. na jego posesję jak co tydzień zjechał pojazd firmy CCS Garbage Service, by odebrać odpady. Być może nadmierna ciekawość była cechą wrodzoną załogi tej właśnie śmieciarki, a może 32-letni Christopher James Shock zapomniał zawiązać worek ze śmieciami? To nie istotne. Ważny było to co zaintrygowało, a może nawet – zważywszy na nazwisko właściciela posesji – zszokowało pracowników odbierających odpady. W worku znajdował się pięćdziesięciodolarowy banknot z wizerunkiem prezydenta Granta. Tak przynajmniej mogło się zrazu wydawać, ale po bliższym przyjrzeniu się znalezisku wyszło na jaw, że to jedynie

wydruk banknotu. Wydruk łudząco podobny do oryginału. Trawiące pracowników CCS poczucie obywatelskiego obowiązku sprawiło, że w domu pana Shocka zjawili się inspektorzy z biura seryfa hrabstwa Limestone. Okazało się, że ów próbny wydruk wykonany był na rewersie urzędowego zaświadczenia, jakie Shock'owi wystawiło Biura Ułaskawień i Zwolnień Warunkowych w Alabamie. Niemal dwa lata wcześniej mężczyzna został aresztowany za sfałszowanie recept na podstawie których wyłudzano silne leki przeciwbólowe o działaniu podobnym do morfiny i heroiny. Słowo aresztowanie nie oddaje obrazu sprawy, bowiem w istocie ujęto go wówczas po blisko półgodzinnym pościgu po autostradzie międzystanowej w Tennessee. Tym razem w domu Shocka odnaleziono 40 sfałszowanych banknotów. Wedle ówczesnych doniesień prasowych zgodnie z prawem stanu Alabama groziło mu 20 lat więzienia. Niewiele, zważywszy, iż w Atenach, tych oryginalnych, greckich, wedle praw zreformowanych przez Solona w VI stuleciu p.n.e. dałby głowę. Zresztą kara ta obowiązywała w znacznej części Europy aż do XIX wieku.

Pokusa łatwego wzbogacenia za sprawą fałszowania pieniędzy jest niemal tak stara jak... same pieniądze. Te zaś jak twierdzą historycy po raz pierwszy w formie monet pokazali światu około 635 r. p.n.e. Lidyjczycy, mieszkańcy niewielkiego państwa w Azji Mniejszej. Bito je początkowo z elektronu, naturalnego stopu złota i srebra, który stanowił o bogactwie lidyjskiej ziemi. Z czasem, za sprawą ostatniego władcy Lidii Krezusa poczęto bić pierwsze monety ze złota, co poniekąd tłumaczy, czemu jego imię stało się synonimem bogactwa. Niekoniecznie natomiast rozsądku, skoro decydując się na wyprawę przeciw Persom zdał się na przepowiednię delfickiej



FOTO: Czesław Bojarski. Wikipedia.

wyroczeni a otrzymawszy odpowiedź, iż w wyniku tej ekspedycji upadnie wielkie państwo uznał za pewnik, iż dotyczy to przeciwnika. Na swą zgubę mylił się okrutnie. Po podbiciu Lidii król perski Dariusz uznał lidyjski wynalazek za użyteczny i począł bić własną monetę. Wkrótce pieniądz jako środek płatniczy przyjął się też w greckich polis. Władca jednego z nich Polikrates musiał około 524 r. p.n.e. wypłacić okup oblegającym Samos Spartanom i Koryntczykom. Uciekł się tedy do oszustwa i wedle przekazu spisane go przez Herodota „kazał mnóstwo krajowej monety z łożu wybić i pozłocić”. Zamyśl ponoć się powiódł, stąd wydaje się, iż nie byłoby nadużyciem traktowania Polikratesa jako patrona tego przestępczego rzemiosła.

Naśladowców, których nie odstraszała wizja kary polegającej np. na wlewaniu do gardła metalu z roztopionych fałszywych monet, miał przez wieki wielu. Z czasem musieli się przebranżowić, bo od 1661 r., kiedy to prywatny szwedzki Stockholm Banco wyemitował pierwsze banknoty, pieniądz papierowy począł wypierać bilon z mniej lub bardziej szlachetnego kruszcu. Akcja budziła reakcję. W banknotach pojawiały się coraz trudniejsze do podrobienia zabezpieczenia (współcześnie np. znaki wodne, nici zabezpieczające, mikrodruki, elementy graficzne widoczne w świetle UV), fałszerze doskonalili swoje umiejętności. Często bazowali na ludzkiej niewiedzy czy wręcz wykorzystywali masowe swego czasu zjawisko analfabetyzmu jak w przypadku włoskich oszustów, którzy w 1870 r. wprowadzili do obiegu banknoty podobne wizualnie do oryginału, na których wszakże widniała nazwa rzekomego banku emisyjnego „Bank Ruchomego Bogactwa w Królestwie Stabilnej Nędzy” oraz jego wartość określona na „50 litrów” miast

lirów. To co zdawać się może objawem poczucia humoru oszukanych boleć musiało po wielokroć.

Bywa, że pieniądze fałszowane ze zręcznością kopisty, przy pełnej świadomości ich przestępczego pochodzenia, budzą podziw. Czasem stają się cenionymi numizmatami. W 2017 r. stufrankowy banknot stworzony przez naszego rodaka Czesława Bojarskiego osiągnął na aukcji kwotę 7 173 euro. Bo też uważa się go za jednego z najlepszych, jeśli nie najlepszego fałszerza wszechczasów. Szacuje się, że za jego sprawą posiwiła nie jedna głowa francuskiego policjanta a Bank Francji stracił 3 miliony franków. Ale po kolei.

Bojarskiego zagnała do Francji wojenna zawierucha. Urodzony w 1912 r. w Łańcucie, z tytułem inżyniera architekta ukończył w 1939 r. Wyższą Szkołę Techniczną Wolnego Miasta Gdańsk. Zmobilizowany brał udział w kampanii wrześniowej i najprawdopodobniej przez Węgry w 1940 r. przedostał się do Francji. Najprawdopodobniej, bo w historii Bojarskiego nie wszystko jest jasne i istnieje też wersja, iż dostał się do Francji uciekając z transportu podczas wywózki na przymusowe roboty do Niemiec. Nad Sekwaną znów przywdział polski mundur. Po kapitulacji Francji nie próbuje przedostać się na Wyspy Brytyjskie, ale zaszywa się w malowniczej miejscowości Vic-sur-Cère. Po zakończeniu wojny przenosi się do Paryża. Praca w fabryce obuwia nie odpowiada ani jego ambicjom ani wykształceniu. Postanawia zaryzykować i żyć z wynalazków, które jeden po drugim legną się w jego głowie. Jeszcze w czasie okupacji opatentował projekt specjalnej, sferycznej zatyczki do pojemników oraz skonstruował model ruchomego fotela z drewna. Powołuje do życia firmę Obtura, która ma wdrożyć kolejne innowacje do masowej produkcji. Niestety ani nowe maszyny do golenia, ani nowe szczoteczki do zębów, plastikowe długopisy czy kapsułki do kawowych ekspresów nie znajdują uznania. Firma bankrutuje.

Niespełniony wynalazca nie zwątpił w siłę swego talentu, który postanowił wykorzystać w zgoła inny sposób. W jego głowie kiełkuje myśl, by fałszować banknoty tysiącfrankowe. Co popchnęło go do tej decyzji? Trudno usprawiedliwić ów krok biedą. W 1948 r. Bojarski ożenił się z kilka lat młodszą Suzanne Teissedre. Jej zamożni rodzice fundują im piętrowy domek w Bobigny pod Paryżem. Tam przychodzi na świat dwójka

dzieci. Żyją skromnie, zapewne zbyt skromnie jak na ambicje Polaka, ale nie biednie. Chce więcej. Cokolwiek by mówić o niespełnionych ambicjach, zawiedzionych nadziejach wynalazcy czy życiu w cieniu teściów, po prostu chce więcej. Bojarski staje się niewolnikiem swoich pragnień i rozpoczyna eksperymenty z produkcją papieru, który przypominałby ten, na których francuska mennica drukowała pieniądze. Po roku prób jest gotowy pokazać światu swoją wersję tysiącfrankówki z wizerunkiem kardynała Richelieu. Swoją tajemnicą nie dzieli się z nikim. Sam wpro-



wadza fałszyki do obiegu podróżując po Francji nocnymi pociągami i nie korzystając z hoteli. W ten sposób w latach pięćdziesiątych wprowadzi do obiegu około 300 milionów starych franków. Policjanci próbując bezskutecznie wysledzić fałszerza oceniali, iż to dzieło dużej zorganizowanej grupy przestępczej zatrudniającej wielu specjalistów.

Z pierwszym dniem 1960 r. Francuzi przeprowadzili reformę walutową wprowadzając nowego franka równego 100 dotychczasowym. Na nowym banknocie o nominale 100 franków umieścili sylwetkę Napoleona, który jako pierwszy konsul był inicjatorem powstania centralnego Banku Francji. Ów banknot ze względu na zastosowane zabezpieczenia, w tym niezwykle zaawansowane znaki wodne o niespotykanym stopniu szczegółowości, był powodem dumy Francuzów. Bojarski, który w międzyczasie kupił rodzinie posiadłość w podparyskim Montgeron

i tam umieścił swój drukarski warsztat, postanowił zmierzyć się i z tym wyzwaniem. Problem z papierem rozwiązał wykorzystując rozpuszczoną w wodzie bibułę do papierosów i kalkę. Eksperymentował z farbami, poradził sobie ze znakiem wodnym a przede wszystkim kopiował grawerunek. Zbudował też własną maszynę do postarzania banknotów przy użyciu zbieranego w tym celu w kościołach kurzu i popiołu. Efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania. Banknoty Bojarskiego poza specjalistycznym laboratorium nie sposób było odróżnić od oryginału. Ekspert potrzebował kilku godzin studiów pod mikroskopem. Okazało się, że Polak pomylił się jedynie o jeden włos w grzywce Napoleona i jeden płatek kwiatka umieszczonego w rogu banknotu.

Jeśli fałszerstwo bliskie było doskonałości, w jaki sposób je zdemaskowano? Jak powiedział Benjamin Franklin „trzy osoby mogą dotrzymać tajemnicy tylko wtedy, gdy dwie z nich nie żyją”. Skala przestępczego przedsięwzięcia zmusiła Bojarskiego do dopuszczenia do sekretu kogoś, kto pomógłby upłynniać fałszyki. Tą osobą był inny nasz rodak Antonii Dowgierd. Ów zaś podzielił się tajemnicą ze swym szwagrem, który począł nierozważnie upłynniać stu frankówki w najbliższym urzędzie pocztowym, gdzie regularnie kupował zań obligacje. Wszystkie pieniądze przekazywane z poczty do banku podlegały sprawdzeniu i brakowaniu na specjalnej maszynie. Tam właśnie banknoty z wizerunkiem Napoleona, które wyszły spod ręki Bojarskiego zaintrygowały ekspertów. W styczniu 1964 r. po nitce do kłębka poprzez paryską pocztę przy Rue Turgot policjanci doszli do szwagra Dowgierda, jego samego, wreszcie do Czesława Bojarskiego. Podczas przeszukania domu policjanci znajdują kosztowności i fałszywe pieniądze, natomiast Bojarski nie ujawnia lokalizacji swej manufaktury. Z pomocą śledczym przychodzi... grawitacja. Woda rozlana przez kogoś na posadzce miast utworzyć kałużę spływa w niewidoczną na pierwszy rzut oka szczelinę w podłodze. Tam znajduje wąż do ukrytego pomieszczenia. Rzecz by można, historia jak z filmu.

Bojarski zostaje skazany na 20 lata więzienia, jego współnicy, którzy poszli na współpracę z policją uniknęli kary. Wraz z uwięzieniem Polaka, Bank Francji nie uwolnił się wszakże od stworzonych przez niego problemów. W obrotach znajdowało się blisko 745 milionów sztuk



FOTO: Han van Meegeren, „Uczniowie w Emaus” namalowany w stylu Vermeera. Wikipedia.

stufrankowych banknotów z Napoleonem i tylko dokładna ekspertyza każdego z nich pozwoliłaby przesądzić, czy mamy do czynienia z oryginałem czy niemal doskonałym fałszykiem. Chcąc wyłuskać z rynku fałszywe pieniądze, zaproponowano, iż każdemu, kto dostarczy taki banknot zostanie zwrócona jego równowartość. Odzew nie był chyba zbyt wielki, skoro w styczniu 1965 r. wprowadzono do obiegu nowy banknot o nominale stu franków z wizerunkiem pisarza Pierre'a Corneille'a.

Po trzynastu latach Czesław Bojarski przedterminowo został zwolniony z więzienia. Zmarł w nędzy 2 maja 2003 r. Jego majątek podczas procesu skonfiskowano. Pozostał mu przydomek Cézanne'a pośród fałszerzy. Dlaczego akurat Cézanne'a? Nie doszukujmy się logiki u francuskich dziennikarzy budujących śmigłe porównania czy metafory. Cyzelowany rysunek Bojarskiego na banknotach nijak miał się do barwnych plam

prekursora kubizmu, ale Francuzi dumni są ze swych impresjonistów i ich spadkobierców.

Kiedy o tym myślę splot skojarzeń budzi wspomnienie dzieł innego mistrza pędzla, który swym stylem wyprzedzał zamysły mierzących się z iluzją światła Renoira, Moneta czy Cézanne'a. Holender Jan Vermeer zwany też „sfinksem z Delft” przez wielu wskazywany jest jako wczesny poprzednik impresjonistów. Takim postrzegał go m.in. Józef Pankiewicz. Ja oglądając jego „Nalewającą mleko”, „Kobietę z dzbankiem”, „Kobietą z wagą” czy nawet „Widok Delft” widzę go niezrównanym malarzem ciszy, skupienia, kontemplacji. Nadto jako niezwykłego kolorystę o czym łatwo się przekonać kontemplując choćby słynną „Dziewczynę z perłą”.

Żył krótko, bo zaledwie 43 lata, podczas których zdążył namalować tylko nieco ponad trzydzieści obrazów. Profesor Otto Kurtz z Uniwersytetu w Oxfordzie rzekł swego czasu, iż



FOTO: Han van Meegeren fałszujący obraz. Wikipedia.

„Nie ma chyba drugiego malarza, którego oficjalnie uznana spuścizna zawierałaby taki odsetek fałszyfikatów”. Pisząc to leciutko się uśmiecham mając świadomość, iż dziadek Vermeera ze strony matki Baltazar Geerts był skazany za fałszowanie pieniędzy. Niemniej ilość podróbek prac mistrza z Delft świadczy o uznaniu jakim cieszą się do dziś jego obrazy. A jednak po śmierci w 1675 r. przez blisko dwa stulecia pozostawał zapomniany. Jego twórczość przywrócił światu francuski dziennikarz i krytyk sztuki Théophile Thoré-Bürger. Zachwyt Vermeerem szybko podzieli artyści tej miary co Auguste Renoir, Marcel Proust, czy Salvador Dali. Obrazy syna tkacza z Delft stały się szybko przedmiotem pożądania kolekcjonerów. Tych idących za umiłowaniami sztuki i tych kierujących się snobizmem.

Nic więc dziwnego, że kiedy podczas II wojny światowej Niemcy najeżdżają Holandię a marszałek Rzeszy Hermann Göring metodycznie poczyną grabić tamtejsze kolekcje z dzieł sztuki, którymi chce ozdobić swoją ekskluzywną rezydencję Carinhall, jego uwagę przyciąga pewien nieznaną obraz Vermeera „Chrystus i jawno-grzesznica”. Jego zakup doradcy szefa Luftwaffe Walterowi Hoferowi oferuje Alois Miedl niemiecki

bankier z Amsterdamu. Miedla zwie się czasem antykwariuszem, ale w jego przypadku to złowrogi eufemizm. Dzieła Rembrandta, Petera Rubensa, Vincenta van Gogha, Łukasza Cranacha Starszego czy Hansa Memlinga pozyskiwał przede wszystkim od holenderskich Żydów, najczęściej drogą szantażu, w cenach stanowiących ułamek ich właściwej wartości. W 1942 r. Miedl zakupił obraz Vermeera od mało znanego handlarza sztuką Hana van Meegerena. Kosztował go ponoć 1,65 miliona holenderskich guldenów, ale nie przepłacił - Hermann Göring oddał zań 150 zrabowanych wcześniej obrazów o łącznej wartości około 2 milionów guldenów.

Trzy lata później, po kapitulacji Niemiec, obraz odnaleźli Amerykanie. „Chrystus i jawno-grzesznica” wywołał zainteresowanie historyków sztuki. Nie figurował w żadnych katalogach, ale nie było to wielkim zaskoczeniem, bo już przed wojną w latach 1937- 1939 na rynku antykwarycznym pojawiło się osiem równie nieznaną obrazów mistrza z Delft. Ich autentyczność potwierdził znawca holenderskiego malarstwa Abraham Bredius. Dyskusja o artystycznej i historycznej wartości odzyskanego obrazu Vermeera splotła się tymczasem z procesem

poszukiwania prawowitych właścicieli zagrabionego przez Niemców dzieła. Od Göringa przez Hofera i Miedla śledczy dotarli do Hana van Meegerena. Ten ostatni zeznał, iż był jedynie pośrednikiem w sprzedaży obrazu należącego do pewnej starszej damy, która przed laty emigrowała z Holandii do Włoch. van Meegeren nie potrafił jednak udowodnić swych zeznań co spowodowało, że bardzo szybko wylądował za kratami z zarzutem kolaboracji z okupantem. Groziła mu kara śmierci, a że życie mu nie obrzydło zdecydował się zeznawać. To co wyznał wprawilo przesłuchujących w osłupienie – obraz Vermeera miał być stworzonym przez niego fałszykatem. Co więcej, przyznał się do namalowania pozostałych cudownie odnalezionych w ostatnich latach „Vermeerów” w tym słynnej „Wieczery w Emaus”. Początkowo nie dano wiary jego zeznaniom. By je potwierdzić van Meegeren zaproponował eksperyment – raz jeszcze wcielił się w Jana Vermeera. Jesienią 1945 r. w obecności świadków namalował obraz przedstawiający Jezusa nauczającego w świątyni. Zadziwił śledczych, ale chyba ostatecznie nie przekonał, bo postanowiono dokładnie przebadać pozostałe obrazy, do których sfalszowania się przyznał. Analizując skład chemiczny farb używanych przez van Meegerena odkryto, iż znajduje się w nich m.in. nie znany w XVII stuleciu bakelit. Jego obecność odkryto również we wskazanych przez oskarżonego obrazach.

Han van Meegeran dopiął swego. Podczas procesu w listopadzie 1947 r. uwolniono go od zarzutu kolaboracji z Niemcami. Za fałszerstwo skazano go na rok więzienia. W jego przypadku była to zda się niewielka cena za sławę. Niewielka cena za chwilę satysfakcji, kiedy śmietanka ekspertów musiała przyznać się do błędu i zaprzeczyć wcześniej głoszonemu sądom. Tak oto nieznaną malarz z Amsterdamu dopełnił swej zemsty na krytykach, którzy nie poznali się na jego talencie. Jeszcze w 1913 r., kiedy triumfował w uczelnianym konkursie malując akwarelę przedstawiającą wnętrze kościoła św. Wawrzyńca w Rotterdamie, uznawany był za nadzieję sztuki holenderskiej. Zakochany w tradycyjnym, klasycznym malarstwie, odrzucający nowe malarskie mody i prądy skazywał się na zapomnienie. W 1928 r. jego znajomy Theo Van Wijngaarden odnalazł nieznaną obraz barokowego twórcy Fransa Halsy. Uznał go za oryginał

i poprosił van Meegerana o pomoc w konserwacji. Odrestaurowane dzieło udało się sprzedać, ale wkrótce potem nestor holenderskich krytyków sztuki Abraham Bredius zakwestionował jego autentyczność. Van Wijngaarden był zmuszony oddać pieniądze nabywcy. W ramach zemsty Van Wijngaarden namalował obraz w manierze Rembrandta i przedstawił go Brediusowi. Gdy ten uznał w nim dzieło starego mistrza autor wyśmiał go i zniszczył obraz na jego oczach. Narzędziem zemsty van Meegerana, do której przygotowywał się przez lata był ukochany przez niego Vermeer.

Schorowany Han van Meegeran zmarł w więzieniu 30 grudnia 1947 r. nie doczekawszy ułaskawienia, na które liczył nie tylko reprezentujący go adwokat, ale również duża część opinii publicznej. Namalowane przez niego obrazy znalazły swe miejsce w najważniejszych holenderskich muzeach. Sprawa wydawałaby się zakończona, ale oto kilka lat temu podczas prac konserwatorskich obrazu „Scena w tawernie” pędzla holenderskiego caravaggionisty Dircka van Baburena prowadzonych w londyńskim Courtauld Institute odnaleziono w farbach ślady bakelitu, substancji stanowiącej znak rozpoznawczy van Meegerana...



Adam Przystupa

Autor Felietonów, Dyrektor ds. Środowiska i Relacji Zewnętrznych Kom-Eko, jest wnikliwym, pełnym humoru obserwatorem rzeczywistości.

Kochający życie rodzinne, dużą i małą Ojczyznę, Człowiek o ogromnej kulturze osobistej, miłośnik historii, dobrej literatury i muzyki Knopflera, zaangażowany w działania ekologiczne w Lublinie.

więcej felietonów
Adama Przystupy
można przeczytać
na stronie
www.kom-eko.pl





FOTO: Wódz Seneków przemawia do tłumy. Wikipedia

IROKEZI a sprawa polska

ADAM PRZYSTUPA

W historii Polski Fryderyk II, król Prus z rodu Hohenzolernów zapisał się jako inicjator pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej. W rok po tym fakcie francuski filozof Wolter pisał doń schlebając: „Powiadają, Panie, że rozbiór Polski to Wasze dzieło. Jestem tego pewien, bo to rzecz genialna”. On sam w jednym z listów do innego encyklopedysty Jeana d’Alemberta napisał o Polakach zamieszkujących zagarnięte tereny „Biednych tych Irokezów będę się starał oswoić z cywilizacją europejską.”

Trudno znaleźć w historii, nie licząc twórców dwóch wielkich dwudziestowiecznych totalitarnych mocarstw, władcy innego państwa tak pielęgnującego w sobie niechęć i pogardę do swego sąsiada. Bo choć I rozbiór Polski był niewątpliwie jednym z etapów planowego wzmacniania potęgi własnego państwa, to trudno nie odnieść wrażenia, że wszystkim tym poczynaniom towarzyszyła jakaś głęboka zadrza czy kompleks. A może po prostu dla kogoś, kto słabość postrzegał jako grzech niewybaczalny słaba politycznie i militarnie Rzeczypospolita nie zasługiwała na szacunek? Stąd twierdzenia, że Polska „zajmuje ostatnie miejsce wśród narodów Europy”,

a polska szlachta to sfera „wyniosła, arogancka w zamożności, tchórzliwa w nieszczęściu, łatwa do przekupienia, niezdolna do podejmowania odważnych decyzji i ich realizowania”. Stąd również opinia, że „to głupie społeczeństwo z nazwiskami na -ski zasługuje tylko na pogardę”. Był w tym wszystkim również przemyślany sposób kształtowania europejskiej oświeceniowej opinii publicznej w celu usprawiedliwienia jawnego przecież pogwałcenia praw innych narodów do samostanowienia. Sposób, sądząc z opinii Woltera, nader skuteczny. W tym kontekście jeszcze bardziej istotny wydaje się fakt, iż niewątpliwie poglądy wyrażane przez Fryderyka II zwanego przez swych rodaków Wielkim nie pozostały obojętne dla postrzegania Polski przez Niemców w kolejnych stuleciach.

Wróćmy wszakże do Irokezów. Jak pisał prof. Igor Kąkolewski badający sprawę niemieckich stereotypów odwołania dyskredytujące rozmaite obszary Europy przez ich porównanie z postrzeganymi jako „niecywilizowane” ludami należały do typowych chwytów epoki oświecenia. „Określenia tego rodzaju doskonale pasowały do retoryki pruskiej propagandy, chcącej

legalizować rozbiór Polski, stylizując wydarzenie to, na aneksję zamorskich obszarów dokonywanych przez mocarstwa zachodnioeuropejskie. Miały przy tym funkcję kompensacyjną, dając upust kompleksom i negatywnym emocjom niezależnie od podszytych racjonalnością ocen”. Sam wybór Irokezów, jako społeczności prymitywnej, wydaje się jednak chybiony i obnażający niewiedzę władcy Prus.

Ponadplemienny sojusz.

Kim byli Irokezi? Większość z czytających kojarzy tę nazwę z typem fantazyjnej fryzury przyjmującej formę biegnącego centralnie, od czoła do karku przez wygoloną do skóry głowę, pasa stojących włosów. Gwoli prawdy, golenie głowy, któremu towarzyszyło pozostawienie kępy włosów choć nie było powszechnym zwyczajem wśród Indian północnoamerykańskich, nie było również zwyczajem właściwym jedynie dla ludów zwanych mianem Irokezów. Oni sami zresztą częściej niż pas zostawiali na górnej części potylicy trzycalowy kwadrat włosów, z których formowano trzy warkocze. Pozostałych włosów nie zwykli golić, ale wyskubywać kępkami do gołej skóry.

Irokezami zwykło się więc zwać Indian, początkowo pięciu a następnie sześciu plemion, sprzymierzonych w tzw. Związku Sześciu Narodów. Zamieszkiwały one tereny leżące na południe od jezior Ontario i Rzeki Św. Wawrzyńca, czyli północną część stanów Nowy Jork, Pensylwanii i Maine, niemal cały stan Vermont oraz południowe obszary kanadyjskich prowincji Quebec i Ontario. Do związku zwanego niekiedy Ligą Irokezów należały plemiona Mohawków, Oneidów, Onondagów, Kayugów, Seneków i Tuskarora. Zjednoczenia pierwszych pięciu dokonał około 1570 roku wedle zachowanej legendy prorok Deganawida, zwany również Wielkim Rozjemcą, przy wsparciu swego ucznia Hiawathy. W 1722 r. do sojuszu przystąpili Tuskarora wyparci przez Anglików z Karoliny Północnej, stąd od tej pory możemy mówić o Lidze Sześciu Narodów.

Deganawida pochodził z plemienia Wyandotów (zwanych przez Francuzów Huronami), co zdaje się być kolejnym przyczynkiem do słuszności powiedzenia, które głosi, iż „najtrudniej jest być prorokiem we własnym kraju”. Huroni również należeli bowiem do irokeskiej rodziny językowej, ale nigdy nie weszli w szeregi Ligi Irokezów. To nie

dziwi, bo poza Ligą pozostały też inne „irokeskie” plemiona jak Eire, Sesquehannock czy Czirokezi, ale w odróżnieniu od nich Huroni, do swych pobratymców (za podszeptami Francuzów rozwijających handel skórą bobrowymi) mieli stosunek jednoznacznie wrogi. Uzbrojeni w muszkiety przez kolonizatorów znad Sekwany wyprawiali się na Irokezów zrazu z większym (zwycięska bitwa na półwyspie Ticonderoga w 1609 r.) lub mniejszym sukcesem (nieudane oblężenie osady Onondagów nad rzeką Oneida w 1615 r.), ale koniec końców swój wojenny zapał niemal przepłacili istnieniem swego narodu w czasie odwetowej batalii prowadzonej przez Irokezów w latach 1648-1650. Podczas tych walk Liga była w stanie wystawić jednorazowo ponad trzy tysiące wojowników. Stanowiła więc wówczas siłę, która nie tylko mogła stawić czoła innym plemionom zamieszkującym tereny na południe do Wielkich Jezior, ale przede wszystkim samym Francuzom.

Wzór amerykańskiej konstytucji.

Nie był to rzecz jasna jedyny międzyplemienny sojusz, jaki odnotowują badacze historii Ameryki Północnej, by tylko wspomnieć konfederację Sauków i Lisów ze stanu Wisconsin, ale jednak sojusz na tyle szczególny, iż z jego wzoru miano korzystać układając konstytucję Stanów Zjednoczonych. Ślad fascynacji Beniamina Franklina Ligą Irokezów odnajdziemy na awersie Wielkiej Pieczęci Stanów Zjednoczonych używanej do potwierdzania autentyczności dokumentów wydawanych przez władze USA. W szponach odmalowanego tam orła widać wiązkę trzynastu strzał symbolizujących 13 kolonii, które wypowiedziały posłuszeństwo Wielkiej Brytanii. To nawiązanie do postaci Canassaty, wodza Onondagów, który w 1744 r. podczas negocjacji Irokezów z przedstawicielami brytyjskich kolonii zachęcając ich do jedności odwołał się do metafory sześciu strzał, symbolizujących sześć plemion Ligi, których razem złamać nie sposób.

Jako że Irokezi nie znali języka pisanego (nie mylmy ich z Czirokezami, którzy około 1809 r. za sprawą metysa Sekwoi zyskali własny alfabet) konstytucję Ligi Sześciu Narodów, zwaną Wielkim Prawem Pokoju przechowywali w tradycji ustnej. Zapisano ją również w formie wampumów, czyli ozdobnych pasów wykonanych z fragmentów muszli ślimaków nanizanych na rzemienie lub łyko.

Ligą Sześciu Narodów zarządzała Rada Ligi złożona z 49 lub 50 sachemów, czyli wodzów, przy czym nie każde z plemion posiadało w nich taką samą liczbę przedstawicieli. Nie miało to jednak w istocie większego znaczenia, bo podczas zwoływanej przynajmniej raz w roku w dolinie Onondonga (okolice dzisiejszego miasta Syracuse) Wielkie Rady Konfederacji decyzje podejmowano jednogłośnie. Co więcej, w owym głosowaniu każde z plemion dysponowało jednym głosem, które należało uprzednio uzgodnić między sachemami. W przypadku rozbieżności zdań między plemionami obrady Rady trwały do skutku, głosowania powtarzano aż do uzyskania jednomyślności. Decyzje Rady nie ingerowały, wszakże w głęboką autonomię poszczególnych plemion. Przedmiotem jej troski było raczej wypracowanie wspólnego stanowiska wobec ludów pozostających poza Ligą. Rzec by można, sprawy wojny i pokoju. Oprócz rady złożonej z sachemów Irokezi posiadali również przywódców wojennych zwanych Wodzami Sosny. Godności tej nie dziedziczono, ale sięgano po nią dzięki zasługom na polu walki.

Rządy kobiet.

Sachemem zasiadającym w Wielkiej Radzie Konfederacji mógł być tylko mężczyzna, ale o tym kto nim zostawał, decydowały kobiety. Była to co prawda godność dziedziczna w obrębie klanu, ale następcę wskazywała funkcjonująca w jego ramach Rada Kobiet. Kierująca nią naczelniczka w istocie kontrolowała sachema. Jeśli postępował nie po jej myśli otrzymywał ostrzeżenia. Trzecie oznaczało odwołanie go z funkcji. Naczelniczka Rady Kobiet pełniła też rolę regentki w imieniu niepełnoletniego następcy zdymisjonowanego sachema.

Zwykło się mówić, iż Liga Sześciu Narodów to społeczność, w której jako jedynej w pełni wykształcił się matriarchat. Podstawowy element tej społeczności stanowiła owaczira, czyli grupa krewnych po linii matki, słowem kilka rodzin kierowanych najczęściej przez babkę. Rodzin zamieszkujących wspólne domostwo nazywane „długim domem” (stąd też owe sześć plemion zwało siebie Haudenosaunee, czyli ludźmi długich domów). Budowano go z pali drewnianych i kory na planie prostokąta o bokach 36 i 6 metrów. Środkiem prowadził wspólny korytarz, w którym płonęło sześć ognisk, służących dwunastu mieszkającym tam rodzinom. Po obu stronach

korytarza mieściły się mieszkania poszczególnych rodzin wyposażone w piętrowe legowiska do spania. Na krańcach wspólnego domostwa umieszczano magazyny z żywnością i opalem. Lokalizowane na wzgórzach domostwa otaczano solidną palisadą, co skłaniało europejskich przybyszów, by zwać wioski Irokezów zamkami.

Kilka owaczir tworzyło klany. Mężczyźni wżeniali się w rodziny, ale na swój sposób pozostawali dlań obcy, nie mając praw do posiadania i dziedziczenia. Te przynależne były jedynie kobietom. Do nich należały domy, narzędzia rolnicze, majątek. Ziemia była własnością wspólną owacziry, kobiety wspólnie uprawiały ziemię i dzieliły się zebranych plonami. Głównymi uprawami Irokezów były kukurydza, fasola i dynia (uważane za szczególny dar od Stwórcy i nazywane „trzema siostrami”), ale w ich diecie obecne były również karczochy, por, ogórki, rzepa czy jagody. Rolą mężczyzn była walka, handel i polowanie.

Za wyjątkiem Mohawków i Onediów występowały u Irokezów tzw. połowy, czyli dwie grupy skupiające po kilka klanów. W starszych opracowaniach, w tym u naszego słynnego antropologa Bronisława Malinowskiego zwało się owe połowy fratriami, czyli bractwami. Było one egzogamiczne tzn. obowiązywał je zakaz zawierania małżeństw w obrębie fratrii. Jednocześnie obie połowy miały wobec siebie określone obowiązki np. w zakresie dopełnienia zemsty czy wyprawienia pogrzebu członkom drugiej połowy. I tu także znajdujemy potwierdzenie niezwykle silnej pozycji irokeskich kobiet, które miały decydujące zdanie w kwestii małżeństw. To matki młodzieńców wyszukiwały kandydatki na żonę z innego klanu i drugiej połowy, finalizując sprawy z przyszłą teściową, w zasadzie nie pytając o zdanie samych zainteresowanych.

Wojna i rytualna przemoc.

Matriarchat wykształcony przez Irokezów intryguje od lat. Doktoryzują się nań pokolenia antropologów, Engels budował nań krytykę społeczeństwa klasowego, był ponoć inspiracją dla pierwszych amerykańskich sufrażystek, dziś zaś często skłania do wywodzenia nazbyt prostych wniosków. Byłże to system doskonały, sprawiedliwy, wyzbyty przemocy i wszelkich przewin systemów patriarchalnych?

W tym świecie rządzonym w istocie przez irokeskie kobiety wojny były codziennością.



FOTO: Wódz Seneków. Wikipedia.

Co więc, w trzech-czwartych konfliktów, w których w XVII w. uczestniczyli Irokezi, można przypisać im rolę agresora. Ta statystyka nieco podważa pojawiające się twierdzenia, iż międzyplemienne starcia były najczęściej sposobem na pomszczenie krzywd doznanych w przeszłości i w takim ujęciu, poprzez możliwość wypełnienia zobowiązań wobec bratnich klanów, wzmacniały społeczne więzy. Niemniej, nie były to wojny znane nam z Europy, prowadzące do wyniszczenia przeciwnika. Nie angażowano dużych ilości wojowników, nie pociągały za sobą też wielu ofiar. Głównym celem wypraw było wzięcie jeńców. Po wyrwaniu paznokci i obcięciu palców, którymi zwykli napinać cięgi łąk, prowadzono ich do wioski, gdzie mieli szansę ocalić życie poprzez adopcję – trafiali do rodzin, które w ostatnim czasie utraciły bliskich. Nim jednak stało się to ich udziałem, czekało ich coś, co rodzimej historii zwykliśmy zwać „militaryjną ścieżką zdrowia”. Biegli w szpalerze mieszkańców wioski, którzy bezlitośnie objęli ich pałkami. Kto przeżył tę próbę na centralnym placu wioski obnażony poddawany był torturom, swoistemu rytuałowi przejścia. Kto wykazał się męstwem wybierany był przez matrony kierujące owaczirami do adopcji. Pozostali ginęli w nieśpiesznych okrutnych torturach, które trwały nawet kilka dni z dbałością, by torturowany nie umarł zbyt szybko. Jeśli wykazał się męstwem jego upieczone serce zjadali młodzi wojownicy.

W upokarzaniu i maltretowaniu jeńców uczestniczyli wszyscy mieszkańcy wioski. Okrutny obyczaj próbuje się dziś tłumaczyć mechanizmem umożliwiającym całej społeczności celebrowanie zwycięstw, wzmacniającym poczucie wspólnoty czy uśmierającym poczucie bólu po stracie najbliższych, więc by tę stratę skompensować należało zmarłego zastąpić adoptowanym jeńcem lub osuszyć łzy w unicestwieniu wroga. Wszystko to pod kobiecym okiem, które jak widać w tej konkretnej społeczności nie łagodziło obyczajów. Co więcej w XVII stuleciu pod wpływem kontaktów z Europejczykami Liga Irokezów przyjęła inną, eksterminacyjną formę prowadzenia wojen. Skuteczną w konfrontacji w innych plemionami, skazaną na porażkę w zderzeniu z białymi kolonizatorami.

Paradoks

Jedyna w swym rodzaju demokracja Irokezów nie zdołała oprzeć się ekspansji wyemancypowanych trzynastu kolonii tworzących Stany Zjednoczone. Spośród rdzennych mieszkańców Ameryki Płn. jako jedni z pierwszych musieli ustąpić pod naporem kolonistów, ich militarnej i liczebnej przewadze. Dysproporcja na tym polu była tak wielka, iż z góry byli skazani na porażkę. Niektórzy badacze twierdzą, iż na przeszkodzie stała też wypracowana przez Związek Sześciu Narodów struktura polityczna, w której brakowała instytucji umożliwiającej w sytuacjach krytycznej realizację władzy oraz narzucanie poleceń, które zyskałyby powszechną aprobatę. To paradoks, zważywszy, iż wspomniany tu już wódz Onondagów Canassaty sprzedając kolonistom dolinę Shenandoah mówił: „Serdecznie polecamy zjednoczenie i dobre porozumienie między wami, nasi bracia. Nigdy nie kłóćcie się, ale zachowajcie dla siebie ścisłą przyjaźń, a dzięki temu wy i my staniemy się silniejsi. [...] Jesteśmy potężną konfederacją i przestrzegając tych samych metod, które przyjęli nasi mądrzy przodkowie, zdobędziecie nową siłę i moc.”. Zdobyli na zgubę Irokezów.

Gawędziarka największego kalibru

ADAM PRYZSTUPA

„Inteligentna do szpiku kości”, „gawędziarz największego kalibru”, „jeden z najwybitniejszych żyjących autorów” - to tylko niektóre z opinii, jakimi krytycy zwykli obdarzać Brandy Clark. Dodajmy, krytycy za oceanem, bo w Europie i w Polsce ta dziewczyna ze wschodniego wybrzeża pozostaje niemal nieznaną. Może dlatego, że czas, kiedy teksty najbardziej popularnych piosenek kreślili poeci zda się minęły bezpowrotnie? Ba, czas, kiedy poeci potrafili zawładnąć zbiorową wyobraźnię wydają się przeszłością. Może dlatego, że przestaliśmy doceniać wartość słowa, a może zawsze było on przedmiotem zainteresowania nielicznych? Z pewnością w wielu przypadkach emitowanym w radio piosenkom bliżej do muzycznych produktów niżli do przebłysków muzycznego geniuszu, a jeśli wiek oczekujących nań konsumentów wciąż się obniża i przekaz siłą rzeczy staje się coraz prostszy. Poza wszystkim zaś niemal każdy, kto dziś zjawia się na scenie jest przekonany, iż sam potrafi wysłowić to co gra mu w duszy i czym chce się z nami podzielić. Tymczasem pisanie poezji czy tekstów piosenek to sztuka a co najmniej rzemiosło, przy którym wskazana byłaby choć odrobina pokory a przede wszystkim talentu.

Obu, jak się zdaje, nie brakuje Brandy Clark. Nie jest wybitną wokalistką. Gitara, choć sięgnęła po nią w wieku dziewięciu lat, w jej dłoniach to raczej instrument akompaniujący niż solowy. Ma wszakże niezwykle dar obserwacji otaczającego ją świata i zapisywania swych spostrzeżeń w wersach piosenek. Jak wspomina, poczęła to



FOTO: Brandy Clark. Za zgodą Warner Records.

czynić jeszcze jako dziecko, kiedy odkryła, że nie wszystkie piosenki jeszcze napisano. Temu zaskoczeniu, siłą rzeczy musi towarzyszyć odkrycie możliwości tworzenia. A potem przychodzą pierwsze próby i krytyczne zestawienie własnych wprawek z tym, co zachwycało od dzieciństwa - z piosenkami Loretty Lynn, Patsy Cline, Merle Haggard, Carol King czy Andrew Loyd Webera. Potrzeba czasu, dojrzałości. Nim zdobędzie się na samodzielne śpiewanie, pisze dla innych. Czasem sama, czasem przy udziale innych autorów, najczęściej Shane'a McAnalley'ego. Nieśpiesznie sięgają po nie muzycy country, ci mniej znani jak Mica Roberts, Guy Penrod czy Miranda Lambert, jak i wielcy jak Kenny Rogers czy Reba McEntire.

W 2011 r. utwór „Mama's Broken Heart” wyśpiewany przez Mirandę Lambert wędruje na drugie miejsce listy przebojów „Hot Country

Songs” Billboardu. Opowieść o dziewczynie, która z trudem próbuje pozbiierać się po rozstaniu („Obciąłam grzywkę zardzewiałymi, kuchennymi nożycami. Wykrzykiwałam jego imię, aż sąsiedzi wezwali gliny. Odrętwiałam z bólu kosztem mojej wątroby”), która mierzy się z presją otoczeni („Nieważne, jak się czujesz, liczy się tylko to, jak wyglądasz”) daje próbę jej charakterystycznego stylu bystrego obserwatora budującego emocję opisem na pozór mało znaczących detali. Przesycony sarkazmem, niemal wykrzyczany przez Mirandę Lambert refren piosenki czerpiący z mowy potocznej, to celny zabieg budujący w słuchaczu poczucie autentyczności całej sytuacji.

*„Idź i popraw makijaż, dziewczyno,
to tylko zerwanie, biegnij i ukryj
swoje szaleństwo
i zacznij zachowywać się jak dama,
bo nie tak cię wychowałam,
zbierz się do kupy, nawet jeśli się rozpadasz
- Ale to nie moja mama ma złamane serce”*

To zresztą fascynująca cecha jej tekstów. Po prostu chce się im wierzyć. Kiedy w 2013 r. Brandy wydała swoją pierwszą płytę „12 Songs” pisano, iż w owym tuzinie piosenek nie sposób się nie przejrzeć, nie sposób nie dostrzec swego odbicia. Pewnie dlatego, że to dwanaście kameratealnych opowieści o sprawach bardzo przyziemnych, o zmaganiach z codziennością, z naszymi ułomnościami i słabościami naszych najbliższych. Ale również dlatego, że każdy z nas jest inny a jednocześnie przy swej odmienności jesteśmy do siebie bardzo podobni - kochamy i krzywdzimy, upadamy i powstajemy. Nie sposób oczywiście nie zauważyć, iż piosenki Brandy Clark to zwierciadła szklone kobiecą ręką. Szklone jednak z tak wprawą, iż słuchając rockowo rozpędzonej „Crazy Women”, piosenki traktującej o zemście na niewiernych facetach, na usta niejednego mężczyzny, mimo trącej stereotypem puenty, zbłądzi uśmiech.

*„Szalone kobiety, byłe żony i stare dziewczyny
Ukrywają swoje szaleństwo, dopóki nie są doprowadzone do ostateczności
Bóg im wybacza, w końcu nie takie się urodziły
Stają się szalone za sprawą pomylnych facetów”*

Temat zdrady stanowi kanwę opowieści snutej w „Stripes”, bodaj najbardziej przebojowej kompozycji z debiutanckiej płyty Brandy Clark.

Muzycznie to niestandardowe country-bluesowa kompozycja z rozpędzonym refrenem znacząco partią pianina wygrywaną w stroju honky-tonk. Tekstowo przykład właściwego dla Brandy poczucia humoru i ironii. Już pierwszy wers nie pozostawia wątpliwości, kto zawinił w tej historii - „Leżałeś tam bez niczego oprócz głupkowatego uśmiechu i platynowej blondynki”, kolejne opisują reakcję bohaterki, która odbezpiecza trzymany w dłoni pistolet. W chwili, kiedy przez głowę przebiega nam myśl, że mamy do czynienia z piosenką czerpiącą z tradycji XVIII i XIX wiecznych tradycyjnych „morderczych ballad”, okazuje się, że pomysł Brandy Clark na tę opowieść jest zgoła inny.

*„Jest tylko jedna rzecz, która
mnie powstrzymuje
Nienawidzę pasków, a pomarańcz
to nie mój kolor
A jeśli nacisnę ten spust będę nosić
jedno albo drugie
Żadna zbrodnia w afekcie nie jest warta
zbrodni przeciw modzie
Jedyna rzecz, która ocali twoje życie
to fakt, że
Nie do twarzy mi w pomarańczowym
i nienawidzę pasków”*

Chylę czoła przed pisarskim konceptem i zardroszczę inwencji. Jednocześnie nie mam złudzeń - taki suspens w refrenie piosenki mogła zaserwować tylko kobieta. Równie zaskakujące rozwiązanie znajdzie bohaterka piosenki „Daughter” zdobiącej drugą płytę Brandy „Big Day in a Small Town”. Tym razem porzucona kobieta rozważa zrazu otrucie niewiernego mężczyzny lub uszkodzenie hamulców w jego samochodzie. Zaniecha swych planów („Kiedy zniszczyłeś moje dobre imię, tak bardzo chciałam zrobić to samo, ale się powstrzymałam, bo to nie jest chrześcijańskie”) zostawiając pomstę losowi.

*„Mam nadzieję, że będziesz mieć córkę
i że będzie szalona
Córeczka tatusia - tak słodka jak i gorąca
Nie będzie mogła nic poradzić na to,
że przyciąga facetów
Którzy kochają rozkochiwać i je zostawiać
tak jak jej tatuś
Tak, karma to suka - więc mam nadzieję,
że będziesz mieć córkę”*

Tym razem refren to nie okazja do efektownej wolty, to zaskakujący pomysł na



wymierzenie kary. Po dwakroć okrutny, bo podobnie jak w „Stripes” wyłożony w najbardziej przebojowej kompozycji na płycie, kompozycji zwodzającej swą pogodną melodią niczym uśmiechem. To niezwykle, że słuchając jej większości umyka fakt, iż finalnie ofiarą owych złych życzeń skrzywdzonej bohaterki będzie... inna kobieta, której też ktoś przepołoży serce. Niedopatrzona autorki? Raczej z rozmysłem ukryta ironia, bo wbrew temu, co można by sądzić piosenki Brandy Clark choć w swej fabule na wskroś kobiece, ba nawet feminizujące nie są przesiąknięte uprzedzeniami wobec mężczyzn. Wina nie zawsze leży po jednej stronie. W klasycznej countrowej balladzie „What’ll Keep Me Out Of Heaven” Brandy uchyla przed nami kurtynę w chwili zawahania swej bohaterki. Poznany w kawiarni nieznajomy, którego słowa sprawiają, że czuje się szczęśliwa („Minęło dużo czasu, odkąd czułam się taka ładna, jak on mówi mi, że jestem”) czeka na nią na dziesiątym piętrze w hotelowym pokoju przy świecach i szampa. Ona stoi przed hotelową windą i nie podjęła jeszcze decyzji. Mówi się, że Brandy nie ocenia swych bohaterów, że bliższa jest jej postawa kronikarza. Tu rzecz można, że nawet nie przesądza o ich losie, zostawiając nas w niepewności, co do podjętych przezeń decyzji. Daje im wszakże pełną świadomość sytuacji, w którą się wplątali („Jest tyle odcieni szarości, ale to jest czarne i białe. On jest mężem nieznajomej, a ja żoną nieznajomego”).

Słuchając Brandy Clark nie sposób oprzeć się wrażeniu, iż świadomie lub nieświadomie, twórco czerpie z tradycji dziewiętnastowiecznego naturalizmu. Dokumentuje życie zwykłych ludzi, niedoskonałych, pełnych sprzeczności, którzy zamieszkują małe miasteczka.

W „Pray To Jesus” śpiewa:
*„Żyjemy w przyczepach i mieszkaniach,
 od Kalifornii po Kalamazoo
 Dorastamy, wychodzimy za mąż,
 a kiedy to się kończy
 Nienawidzimy spać samotnie,
 więc znów to robimy
 Lubimy narzekać na to, czego
 nie da się naprawić
 Najczęściej na teściowe, korki i politykę
 Mówimy dzieciom jak było kiedyś
 Tak samo jak opowiadali o tym nasi rodzice”*

Od Kalifornii, po Kalamazoo, z perspektywy Amerykanów znaczy wszędzie. Nazwa miasteczka Kalamazoo zapisana na mapie stanu Michigan a unieśmiertelniona w latach czterdziestych ubiegłego wieku przez orkiestrę Glenna Millera uosabia swą egzotyką kraj świata. A jeśli po kraj świata, to w istocie niedaleko. Kto wie, może po sąsiedzku. My też jak bohaterowie „Pray To Jesus” – „Myśleliśmy, że będziemy inni, ale jesteśmy tacy sami”. Bo tak tam, jak i tu są ludzie próbujący radzić sobie z samotnością, kaprysami codzienności, rozstaniem czy stratą najbliższych.

*„Odkąd odszedłeś do nieba nie lubię wracać do domu
 Ale nie mogę znieść myśli, że moja mama jest sama w tym wielkim domu
 Nie może go zatrzymać, naprawdę powinna go sprzedać
 Ten dom bez ciebie jest tylko skorupą
 Odkąd odszedłeś do nieba, cały świat poszedł w diabły
 Wszyscy mówią, że Billy coraz bardziej przypomina ciebie
 Ale on nie podejmie rozmowy, dopóki nie wypije trochę
 Rzucił college, co chwila ląduje w więzieniu
 Ostatnio musiał sprzedać twój zegarek by spłacić długi
 Odkąd odszedłeś do nieba, cały świat poszedł w diabły”*

To ledwie fragment z przejmującej ballady „Since You’ve Gone to Heaven” luźno inspirowanej śmiercią ojca, który zginął w wypadku, gdy Brandy miała 25 lat. Motyw pogubionego brata to literacka fantazja i choć Brandy nie rzekłaby tak jak jej bohaterka „nienawidzę tego, że musiałeś nas zostawić, ale cieszę się, że nie jest ci dane tego wszystkiego oglądać”, to pewnie

powtórzyłaby za nią „chciałabym z tobą porozmawiać, bo przydałabym mi się twoja pomoc”. Ta tęsknota powraca też w pochodzącej z trzeciego albumu Clark kolejnej pięknej balladzie „Remember Me Beautiful”, w której wspomnieniem powraca jej zmarła babcia

*„Myślałem, że ta kobieta będzie żyła wiecznie
 Chyba dorosłam, ale przysięgam, że ona nigdy się nie zestarzała
 Czasami, kiedy jestem sama, a świat wydaje się zimny
 Zakładam jej ulubiony sweter
 [...]*

I chcę do niej zadzwonić i nie mogę przestać płakać

Gdyby w niebie był telefon, na pewno by powiedziała

*Pamiętaj mnie piękną, pamiętaj mnie młodą
 Zapamiętaj mnie uśmiechniętą z twarzą zwróconą ku słońcu*

Pamiętaj mnie szczęśliwą, kiedy odasz się wspomnieniom

Ale przede wszystkim, zapamiętaj moją miłość”

To inna, liryczna, melancholijna odsłona talentu Brandy Clark. Mocno schowana w cieniu gorzkich w wymowie, acz uwodzających melodii w stylu „Hungover”, „In Some Corner”, „Take A Little Pill”, „Get High” czy ściskająca za gardło „Just Like Him”. Piosenek niosących taki ładunek emocjonalny, że mam wrażenia, czasem

łatwiej byłoby je słuchać nie rozumiejąc tekstu. A przecież jest jeszcze piosenka „Three Kids No Husband”, opowieść o matce samotnie wychowującej trójkę dzieci.

*„Ten tydzień trwa już 40 godzin,
 a jest dopiero wtorek
 Jest praca w domu i obiad do zrobienia
 Ktoś chce kołysankę
 Ktoś chce inny program telewizyjny
 Ktoś radzi sobie z pierwszym złamanym sercem
 A naczynia w zlewie nie zmyją się same
 [...]*

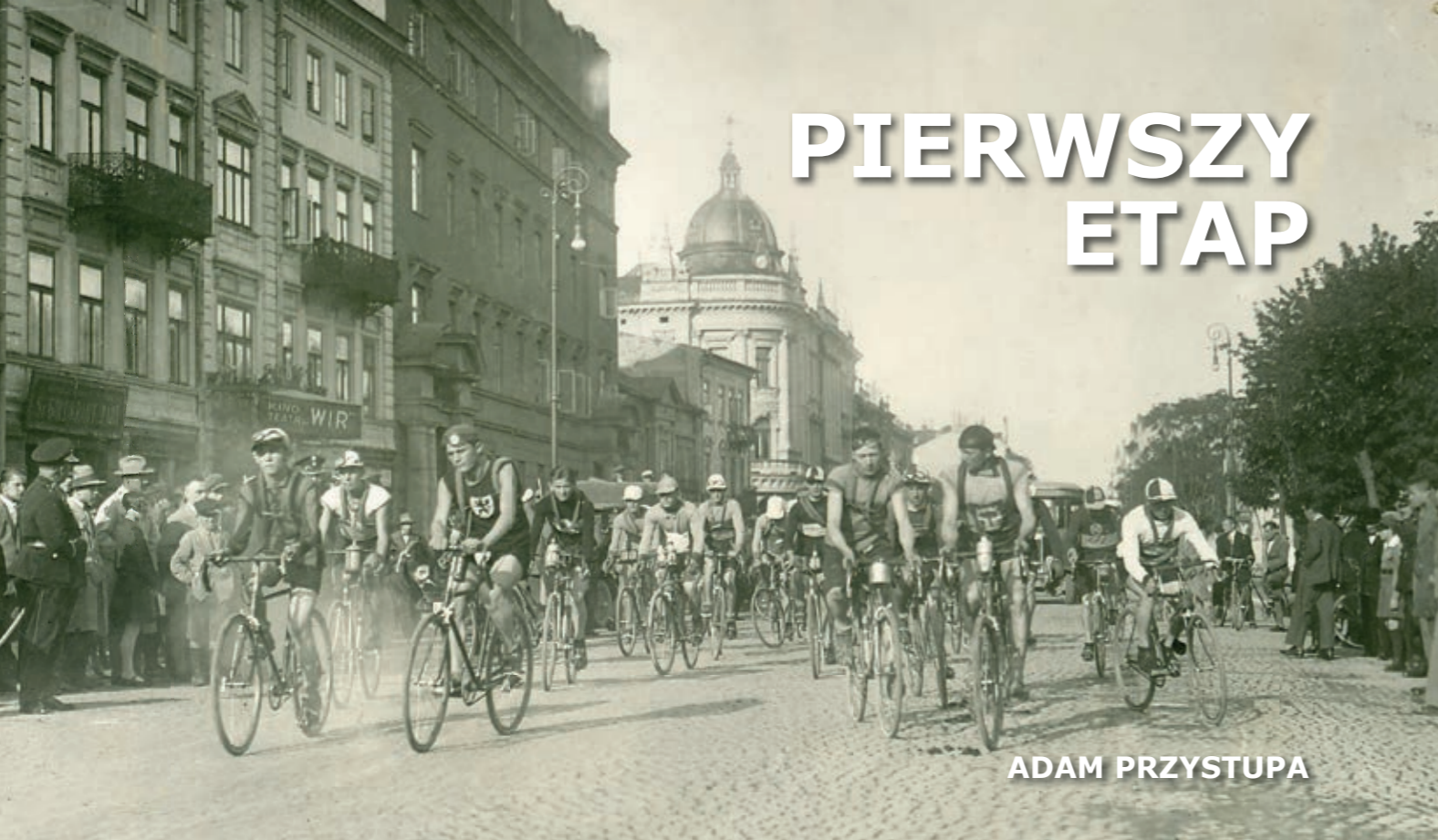
*Ma trójkę dzieci, nie ma męża
 Jest mamą i tatą i taksówkarzem
 Kiedy dziecko jest chore, nie śpi całą noc
 Służy swą dłonią, ramieniem, kiedy trzeba rozsądzi
 Gdybyś mnie zapytał, rzekłabym że jest prawdziwą bohaterką
 Bo te dzieci nie wychowają się same”*

Jeden z recenzentów zza oceanu napisał, że to najlepsze wersy jakie napisano w ostatnich latach w muzyce country. Cóż, zapewne nie tylko za oceanem i nie tylko w tej stylistyce. Nie bez powodu powiadają, że Brandy Clark jest ekspertem w opisywaniu marzeń i trosk, z którymi każdy uczy się żyć.



FOTO: Brandy Clark. Za zgodą Warner Records.

PIERWSZY ETAP



ADAM PRZYSTUPA

Bieżący rok jest wyjątkowy w historii Tour de Pologne. Kolarze wyruszą na trasę w osiemdziesiątej edycji wyścigu, który po raz pierwszy wystartował 95 lat temu.

Pomysł organizacji narodowego wyścigu pojawił się niedługo po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Sport w II Rzeczypospolitej był ważnym elementem kształtowania postaw obywatelskich a rywalizacja kolarzy przemierzających ziemię podzielone przez 123 lata granicami zaborów wydawał się też doskonałym pomysłem dla budowania wspólnoty. Organizacja takiego wyścigu miała też charakter prestiżowy. Na świecie rywalizowano wówczas w dwóch tego typu imprezach. Od 1903 r. z inicjatywy Henri Desgrange, założyciela gazety L'Auto (protoplasty obecnego dziennika sportowego L'Équipe) ścigano się w słynnym Tour de France, zaś od 1909 r. z inicjatywy La Gazzetta dello Sport przemierzano włoskie drogi w Giro d'Italia. Nietrudno zauważyć, iż organizatorami tych wydarzeń była ówczesna prasa, która zakładała, iż sportowe relacje przyczynią się do wzrostu ich poczytności. Także w Polsce kolarska idea nabrała realnych kształtów za sprawą redakcji Przeglądu Sportowego i Warszawskiego Towarzystwa Cyklistów. Ich staraniem w pamiętnym 1928 r.

po raz pierwszy rozegrano imprezę zwaną wówczas Biegami Dookoła Polski. Jego trasa liczyła 1469 km i była podzielona na osiem etapów: Warszawa-Lublin, Lublin-Lwów, Lwów-Rzeszów, Rzeszów-Kraków, Kraków-Wieluń, Wieluń-Poznań, Poznań-Łódź i kończący wyścig Łódź-Warszawa. O randzie imprezy świadczy fakt, że patronem honorowym wyścigu został sam prezydent II Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki, a przewodniczącym Komitetu Honorowego Marszałek Józef Piłsudski. Do wyścigu zgłosiło się 83 uczestników, wśród nich reprezentant Tadeusz Lambert reprezentujący Towarzystwo Gimnastyczne Sokół w Lublinie.

Warto pamiętać, iż ów pierwszy, inauguracyjny etap pierwszego historycznego wyścigu miał swoją metę w Lublinie. Najszybszy na liczącej 157 km trasie z Warszawy był Eugeniusz Michałak reprezentujący WKS Legię Warszawa, olimpijczyk z Amsterdamu. Suche wyniki nie oddają atmosfery jaka towarzyszyła, temu jednemu z najważniejszych rodzimych sportowych wydarzeń międzywojnia. By choć w części jej



posmakować sięgnijmy po fragmenty barwnych relacji zamieszczonych na łamach „Przeglądu Sportowego” w tamte wrześniowe dni 1928 roku.

Na początek opis trasy wiodącej ze stolicy do Lublina, którą jeszcze przed kolarzami przemierzali podwładni Kazimierza Wierzyńskiego: „Początek właściwego wyścigu (bo przez miasto kolarze będą prowadzeni dla uniknięcia wypadków), znajduje się na ulicy Grochowskiej. Zdaje się, że już po tym starcie, czyli jeszcze w granicach Warszawy, niejedynemu kolarzowi zejdzie z szosy, by zmienić sigeltubę, tak potworną jest ta ulica brukowana kociemi łbami. Nie wiadomo czemu należy przypisać stan tej drogi, w każdym razie jest niezaprzeczalnym faktem, że ulica Grochowska mogłaby być żywcem przeniesiona z wielkiej Warszawy do małego Kurowa czy Bełzca. Wkrótce jednak kończą się udręki warszawskie, mijamy ostatnie wagony tramwajowej linii 24 i już jesteśmy na szosie, nie nadzwyczajnej wprawdzie, ale dobrej. Za Wawrem na rozstajnych drogach bierzemy prawą odnogę, pozostawiając po lewej ręce szosę do Mińska Mazowieckiego, Kołbiel,

Garwoli, Ryki, Moszczenkę mijamy w szybkim tempie, mogąc sobie pozwolić często na 70 klm. W granice Lubelszczyzny wjeżdża się niespostrzeżenie: szosa równie dobra, falistość prawie ta sama. Jedziemy przez Żyżyn, Kurów (zakręt), Markuszów, Garbów i dalej prosto jak strzełił do Lublina. To już tylko 30 kilometrów, ale właśnie ta przestrzeń będzie ukoronowaniem trudów pierwszego etapu. Droga niesłychanie górzysta, a natomiast złego – szosa fatalna. Ostatnie jednak 5 klm. przez Lublinem – to droga świetnie wybrukowana, a więc finisz pierwszego etapu może być przeprowadzany w bardzo ostrym tempie.”

Dotarłszy do Lublina dziennikarze „Przeglądu Sportowego” skierowali się ku Krakowskiemu Przedmieściu, gdzie przed gmachem poczty umiejscowiono linię mety pierwszego etapu, ale też startu do etapu drugiego z finiszem we Lwowie. Tam zaznajomili się m.in. z Komitetem Organizacyjnym lubelskiego etapu, w którego skład wchodził: wicewojewoda lubelski L. Krasieński, dowódca Okręgu Korpusu nr II

FOTO: ze zbiorów Centrum Historii Sportu w Lublinie.



FOTO: ze zbiorów Centrum Historii Sportu w Lublinie.

w Lublinie gen. dywizji Władysław Jung, prezydent Lublina Antoni Pączek, komendant policji nadkomisarz Albin Sobociński i redaktor naczelny „Ekspressu Lubelskiego” Wacław Gralewski.

„Zaznaczyć należy, że dzięki pomocy redaktora „Ekspressu Lubelskiego” p. Gralewskiego, komisja niezwykle szybko zdołała trafić na prawdziwą „złotą żyłę” uczyńności i zrozumienia potrzeb sportu, w osobie komendanta P.P. pow. lubelskiego p. nadkom. Sobocińskiego. Po szeregu wizyt oficjalnych nartach i kilkudziesięciu rozmowach telefonicznych ustaliliśmy następujące organizacyjne.

Od razu po przybyciu na metę etapu odbiera się od zawodników rowery, oddaje mechanikom i przeprowadza kolarzy do łaźni. Po wykąpaniu się i masażu zawodnicy w godz. 14-18 otrzymują obiad składający się z: 1) zupy pomidorowej lub rosółu z makaronem, 2) befsztyka lub sznycła cielęcego, 3) kompotu. Do dyspozycji pozostaje herbata i chleb. Od godz. 19-21 będzie wydana kolacja. Menu brzmi: sznycel, befsztyk lub jajecznicza z 4-jaj z szybką do wyboru, poza tem herbata, chleb, bułki, masło. Od razu po kolacji idziemy spać. Sądzić należy, że do łóżka nie trzeba będzie zaganiać zawodników, bo przecież nazajutrz dn. 8 września w sobotę, drugi etap 211 klm., Lublin – Lwów.”

W ów historyczny dla wyścigu piątek 7 września peleton kolarzy ruszył rankiem ze stolicy

w kierunku Lublina. Za nimi w reporterskim samochodzie dziennikarze: „Tuż za Warszawą, pod Wawrem linia jeźdźców wyciąga się w długi sznur. Tu też łapiemy pierwszy defekt: ma go oczywiście nieznająca stołecznych bruków prowincja. Zostawiamy tedy poza sobą Gałęckiego Jerzego (nr 39) w rowie i pędzimy naszą maleńką, ruchliwą Taterką naprzód. Sympatycznego Tropaczyńskiego los też nie oszczędził – ma „gumkę”. Za skrętem szosy na Lublin obejmujemy jednym rzutem oka całość: to już nie jest grupa, to długi wąż o nieproporcjonalnie dużej głowie.”

Pierwsze kilometry przynoszą pierwsze dramaty: „Jak zawiadamia nas za chwilę sanitarka, wycofał się Zygmunto Januszko (nr 6), brat zdyskwalifikowanego przez lekarzy z powodu młodego wieku, Bolesława. Januszko zmuszony był wycofać się w Miłosnie z powodu urwania widelców. Tak, tak, wyboje podwarszawskie nie mają dla nikogo względu, ni litości. Notujemy sobie tych co rozmyślnie lub też z powodu defektu trzymają się do końca. Mamy tu Hillera (33), Ostrowskiego (50), Węglarza (72), Popiela (27), obu zawodników GKS Grudziądz – Murawskiego i Burnickiego (81,82), a dalej nie jedzie już, ale stoi na środku szosy z rozpaczliwą miną jedyny lublinianin Lambert (37).



– Trzeci defekt proszę państwa!

Dajemy większego gazu, by zawiadomić auto-magazyn Wihrena o wypadku.”

Jakże inne było wtedy sportowe dziennikarstwo. Reportażystom „Przeglądu” skupionym na rywalizacji nie umyka żywe tło sportowego spektaklu: „Wjeżdżamy do Garwolina. Policja z trudem daje sobie radę z tłumem mieszkańców, który napiera na zakrętach. Ktoś wznosi okrzyk na cześć Biegu Dookoła Polski, kolarstwa, „Przeglądu Sportowego”, dzielnych szosowców, wreszcie P. Prezydenta Rzplitej, dostojnego protektora Biegu. Kolarze skinieniem dłoni witają mieszkańców. Wreszcie wybucha gdzieś spod skłębionych maszyn pieśń: „My Pierwsza Brygada”, uderza o błękitny i wyboisty bruk szosy. Za chwilę śpiewa nie tylko grupa zawodników, ale całe miasto. Przejechała już dawno przez ulice czołówka, ledwie pojedynczy przemyka się jeździec a Garwolin śpiewa, śpiewa. Dziwny, wzruszający moment.”

Po chwili ich uwagę przyciągają kolejne harce kolarzy: „Uwaga! Na przodzie ucieczka!”. Jedziemy tam pełnym gazem. W szalonym tempie urywa się kilku kolarzy, korzystając z tego, że reszta tak licznej czołówki zatrzymała się przy wodzie, czy też gruszkach. Patrzymy na numery: jedzie Kłosowicz (34), Duszyński (5), Więcek (1) i Sobolewski (2) – wszystko pierwszorządne nazwiska. Wyraźne niebezpieczeństwo ucieczki aż do mety. Czyżby tych czterech miało przerwać

taśmę? Niebezpieczeństwo zrozumieli wkrótce także i ich koledzy. Po odsunięciu się pierwszych o jakieś 200 mtr wyrusza pełnym gazem Popowski (10) wraz z jakimś innym kolarzem, którego numery nie udało się nam zauważyć. Za nim wali Michalak (48), Żak (66) i Olecki (43). [...] Tak zdawałoby się ukształtować się winna ostateczna klasyfikacja, jednak fatalna na tym przed lubelskim odcinku szosa zbiera liczne ofiary z drugiej strony 130 klm. w nogach też robi swoje. Sobolewski (2) powoli odpada nie mogąc wytrzymać zaproponowanego tempa, Duszyńskiemu nawal guma – trzeba zejść do rowu. W dalszych grupkach to samo. Popowski – guma, Żak i Olecki – tempo. Nad podziw natomiast idzie Michalak. Nie tylko nadrabia utracony w stosunku do innych czas, nie tylko tworzy wraz z Więckiem i Kłosowiczem czołową grupę, ale nawet dyktuje tempo, miejscami bardzo silne.”

Ucieczki, pościgi, peleton rwany na grupki zmęczeniem. Wszystko to znamy i z dzisiejszych wyścigów. Tylko defektów jakby więcej, bo i sprzęt innej klasy i trasa, jak powiedzieliby dzisiejsi sprawozdawcy, bardziej selektywna, wymagająca. Tymczasem w prowadzącej grupie zmiany. Kłosowicz z lekka traci tempo. Na czele Więcek z Michalakiem. Na horyzoncie miasto załęgłe nad Bystrzycą.

„Jesteśmy na ostatnim kilometrze przed Lublinem. Szosa „miastowa” – doskonała.



Michalak i Więcek rwą co nie miara. Idą koło w koło, walczą o każdy centymetr szosy, nie znaczą na nich ani zmęczenia, ani wyczerpania. Michalak trochę czerwony i jakby mniej świeży od Więcka. Końcowy zryw, taśma, chorągiewka, charakterystyczny pokłon sędziów łapiących czas i... już mamy zwycięzcę pierwszego etapu. Jest nim młody jeździec, Michalak Eugeniusz, olimpijczyk, członek Legji Warszawskiej (nr 48), który pokonał trasę w 5:44:30. Drugi był o pół koła Więcek Feliks (Bydgoski Klub Kolarski) (nr 1) z tym samym czasem."

Na koniec reporterski rzut oka na mniej znaną kibicom stronę rywalizacji: „Wszyscy kolarze natychmiast po przerwaniu taśmy, o czym z resztą można mówić tylko symbolicznie, gdyż taśma leżała na ziemi, byli kierowani do kąpielni. Natryski ciepłą wodą były przyjmowane przez uznojonych zawodników. Skorupy błota utworzonego z mieszaniny potu i kurzu, rozpląwały się, rozmazywały i spływały po radośnie uśmiechniętej twarzy. Wszelkie odparzenia starcia, zranienia niemal goiły się pod dobroczynnym działaniem kąpeli. Z kąpeli idziemy prosto na obiad. Składa się on dziś z rosółu z makaronem, ogromnego sznycla z jajkiem i jarzyny oraz z kompotu. Zawodnicy pałaszują to straszliwie szybki sposób, że zaś jedzą (jakby to powiedzieć?) „intensywnie” świadczą fakt, że na 100 mniej więcej osób (zawodnicy i komisja) zjedzono 160 obiadów. Pokazywano sobie zawodników, którzy jakoby sprzątnęli 3 porcje. Bravo!”

W całym wyścigu zwyciężył Henryk Więcek (Bydgoskiego Klubu Kolarzy) oddając rywalom tylko dwa zwycięstwa etapowe. Miarą ówczesnej popularności Biegu Dookoła Polski niech będzie fakt, iż jego tryumfator w dorocznym plebiscycie „Przeglądu Sportowego” na sportowca roku zajął wysokie III miejsce, za Haliną Konopacką i Bronisławem Czechem a wyprzedzając m.in. medalistów olimpijskich z Igrzysk w Amsterdamie. Reprezentujący Lublin osiemnastoletni Tadeusz Lambert w końcowej klasyfikacji zajął 38 lokatę. Wykazał się przy tym nie małym hartem ducha – na pierwszym etapie czterokrotnie zmieniał przebitą oponę, na jednym z kolejnych zostało mocno poturbowany udzielając pomocy koledze, którego na trasie dopadła analogiczna kolarska przypadłość. Obolały ukończył wyścig nagrodzony dodatkowo nagrodą Fair Play.

Do dziś Lublin 17 razy gościł uczestników imprezy raz to Biegiem, innym razem Wyścigiem dookoła Polska na koniec zaś Tour de Pologne zwanej. Dwukrotnie (1969, 1984) był miejscem koronacji zwycięzców wyścigu. W 1969 r. licznie zgromadzeni Lublinianie mieli możliwość cieszyć się z etapowego zwycięstwa swego rodaka Krzysztofa Steca, zaś w 2008 r. mocno się rozczarować za sprawą kuriozalnego strajku kolarzy, którzy odmówili finiszu na zapłakanych deszczem ulicach. Ale to już temat na zgoła inną opowieść.

Serdeczne podziękowania dla Pawła Markiewicza z Centrum Historii Sportu w Lublinie, bez którego pomocy nie powstałby ten tekst.

FOTO: ze zbiorów Centrum Historii Sportu w Lublinie.

FOTO: Z archiwów prywatnych Autorki.



PRZEZ ŻOŁĄDEK
DO SERCA

BEATA GROEN

Kotlety z soczewicy

Kotlety z soczewicy mają wyłącznie zalety! Są pyszne na ciepło i na zimno, bardzo pożywne, zdrowe, łatwe, szybkie w przygotowaniu i tanie. Soczewica to źródło łatwo przyswajalnego białka, potasu, błonnika i długą listę innych mikroelementów i witamin.

Składniki:

- soczewica zielona - 250 g
- 2 średnie usmażone cebule
- 3 spore ząbki czosnku
- 2 jajka
- garść natki pietruszki
- przyprawy: sól, słodka i ostra papryka w proszku, kumin, sos sojowy
- bułka tarta – do farszu
- olej do smażenia
- jajko i bułka tarta do panierowania

Soczewicy nie trzeba namaczać. Po wypłukaniu gotować w lekko osolonej wodzie do momentu aż ziarenka będą miękkie, ale nie będą się rozpadać. Odsączyć. Lekko ciepłą zblendować z usmażoną na złoto cebulą z czosnkiem. Dodać jaja, przyprawy i bułkę tartą. Formować kotlety, panierować w jajku i bułce tartej. Smażyć na oleju.

W wersji bardziej dietetycznej można kotlety piec w piekarniku na papierze, ale wówczas lepiej uformować je na kształt burgerów, czyli bardziej płaskie.

Podawać np. z ryżem ugotowanym na sypko z dodatkiem mieszanki ziół śródziemnomorskich, drobno pokrojonej czerwonej papryki i czarnych oliwek oraz z sezonowymi warzywami. Wykorzystując sezon truskawkowy polecam koktajl! **Smacznego!**

FOTOREPORTAŻ



FOTO: Zamiatarki Kom-Eko w Ogrodzie Saskim w Lublinie.